PIĄTY ROK WYDAWNICTWA

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 czerwca 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
47 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

STEFAN WODWICZ

NA MANOWCACH PANIMPERJALIZMU

Nowy zastrzyk propagandy totalistyczno-faszystowskiej daje Ferdynand Goetel w cyklu swych artykułów w „Pionie“ pod ogólnym tytułem „Polacy i faszyzm“. Piszę „totalistyczno-faszystowskiej“, gdyż sam Goetel z całkowitą słusznością zastrzega się przeciw całkowitemu utożsamianiu totalizmu i faszyzmu, przeciwko wprowadzanemu przez to utożsamienie pomieszaniu pojęć:

„...totalizm nie jest żadnym prądem dziejowym, tylko pewną formą dziejowego procesu. Prądem natomiast jest faszyzm, jest hitleryzm — tak jak jest nim bolszewizm. Jak daleko już poszło to zagmatwanie, czy też załganie świadczy najlepiej zestawienie w polemice antytotalistycznej na jednej płaszczyźnie Niemiec i Rosji“ (art. p. t. „Obce wzory“, „Pion“, nr. 21).

Istotnie, każdy bardziej objektywny obserwator przyzna, że chwyt polemiczny, polegający na podciąganiu do wspólnego mianownika totalizmu faszystowskiego i totalizmu komunistycznego jest nadużyciem. Można być zdecydowanym przeciwnikiem obecnej rzeczywistości sowieckiej i dyktatury proletarjatu, ale teorji czerwonego faszyzmu, lansowanej częściowo przez trockistów, przeczy wymowa faktów, chociażby z dziedziny polityki międzynarodowej. Można być równie zdecydowanym antyfaszystą, ale wobec wyraźnego antykomunistycznego oblicza faszyzmu byłoby conajmniej nielojalne i krzywdzące posądzać faszystów o pokrewieństwo ideowe z bolszewizmem. Mimo wszystkich pozornych i formalnych podobieństw totalizm faszystowski różni się od totalizmu sowieckiego przedewszystkiem swoją treścią klasową.

Faszyzm w swej pierwotnej funkcji był samoobroną klas posiadających nie tylko przed niebezpieczeństwem komunizmu, ale również przed wszelkiemi innemi próbami zamachu na „status quo“ społeczne, przed innemi formami urzeczywistnienia socjalizmu, nawet przed względnie niepomyślnym dla nich rozkładem ciężaru podatkowego. Przypomnijmy tu, że Mussolini po dojściu do władzy zniósł właściwie obciążający majętnych ogólny i progresywny podatek dochodowy, wracając do bardziej pierwotnych i niesprawiedliwych form podatków przychodowych, sprowadził podatek spadkowy do śmiesznych funkcyj protektora życia rodzinnego (zwolnienie od podatku przy bliższych stopniach pokrewieństwa), uchronił warstwy posiadające Włoch przed wprowadzeniem powszechnej daniny majątkowej. Tak więc, mimo wszystko, totalizm faszystowski i komunistyczny stanowią dwa bieguny o przeciwnych znakach i demagogją jest stawianie ich bez zastrzeżeń na jednej płaszczyźnie.

Inna sprawa, że pod względem techniki ruchu masowego, techniki walki, propagandy, dyscypliny wewnętrznej — oba bieguny wykazują znaczne podobieństwa, przyczem w dużej mierze ruch faszystowski posłużył się w tym zakresie zdobyczami rewolucji komunistycznej, wzmacniając je przy pomocy całej potęgi finansowej najbardziej wpływowych grup kapitału. Ale przypomina to dwie walczące armje, z których jedna upodabnia się do drugiej pod względem uzbrojenia, umundurowania i t. d. Fakt, że obie armje umundurowane są w kolorze khaki, stosują podobne typy tanków, samolotów, walczą w podobnych szykach, nie upoważnia jeszcze do wniosku, że są to armje przyjazne, że reprezentują jeden i ten sam obóz. Mimikra walki, techniczne przystosowanie się do przeciwnika, stało się właśnie przyczyną złudzeń i pomieszania pojęć. Oczywiście pozostawiam na uboczu problem, czy i w jakim stopniu dyktatura sowiecka i jej formy — ułatwiły zadanie faszystom, dały im broń w ręce.

Godząc się na goetlowskie sprostowanie jednego obiegowego uproszczenia, nie można jednak nie zauważyć, że Goetel poszedł za innem, dość utartem uproszczeniem. W artykule p. t. „Obronność“ („Pion“, nr. 20), pisze:

„Trudno zaiste przypadkowi przypisać fakt, że wszystkie państwa, które widzimy w agresji mają właśnie ustrój totalistyczny“.

Następnie, jako najbardziej typowe państwa agresywne i totalistyczne zarazem, wymienia: Niemcy, Włochy i Japonję. Otóż Japonja to właśnie największe nieporozumienie. Jest to typowy przykład państwa agresywnego, którego jednak, jak dotąd, niesposób nazwać totalistycznem. Co więcej, trudno byłoby mówić nawet o stuprocentowym ustroju faszystowskim w Japonji, gdyż brak tam masowej partji faszystowskiej. Japonja utrzymywała dotychczas formy demokracji parlamentarnej, jako dekorację faktycznej dyktatury wojskowej. Oczywiście są i w Japonji tendencje totalistyczne, ale ich główny nurt idzie raczej po linji wywierania nacisku na dwie największe partje parlamentarne o charakterze mieszczańskim, aby się połączyły w jedną. Partje te bronią się przeciw temu, popartemu pogróżkami, stręczycielstwu, choć coprawda w zasadniczych zagadnieniach polityki państwowej z reguły ustępują pod naciskiem kół wojskowych. Japonja więc stanowi znamienny wyjątek...

Z drugiej strony możnaby mnożyć przykłady państw totalistycznych i bardzo zbliżonych do totalizmu typu faszystowskiego, które trudno posądzać o agresywność. Wymieńmy choćby Turcję albo jeśli chodzi o bliższy nam przykład Litwę. Mimo całej minionej propagandy rewizjonistycznej trudno Litwę nazwać państwem agresywnem.

Formuła Goetla zawiera więc pewne uproszczenia, ale znowuż trzeba jej przyznać słuszność w zasadniczych linjach. Istotnie większą skłonność do totalizmu faszystowskiego mają te spośród państw przodujących w rozwoju kapitalistycznym, które nie mają lub mają za mało w stosunku do swych sił produkcyjnych — kolonij, które cierpią na przeludnienie, których handel zagraniczny natrafia na większe trudności. Dzieje się to jednak nie dlatego, że totalistyczna forma ustroju ułatwia prowadzenie wojny totalnej, lecz dlatego, że klasy posiadające tych krajów nie były w stanie i nie chciały czynić dalszych ustępstw masom ludowym, wobec czego odpadła podstawa mieszczańskiego reformizmu. Kraje te stanęły przed alternatywą: socjalizm w tej czy innej formie albo faszystowski totalizm i wybrały faszystowski totalizm nie w wyniku logicznego rozumowania, lecz w rezultacie istniejącego układu sił, który klasom posiadającym i ich partji faszystowskiej zapewnił przewagę. Wybór między totalizmem a demokracją jest uwarunkowany nie tylko objektywnemi momentami w sytuacji gospodarczej, ale również konkretnym rezultatem walki politycznej. Oczywiście objektywne warunki czynią angielski faszyzm Mosley‘a karykaturą. Ale już w takiej Francji tendencje totalistyczno-faszystowskie były bardzo silne i pokonanie ich było jedynie rezultatem zwycięstwa mas ludowych. Cóż dopiero powiemy o Hiszpanji, w której walka pomiędzy totalizmem a demokracją przybrała charakter wojny domowej, cóż powiemy o Meksyku, gdzie miejscowi faszyści wspomagani przez zagraniczny kapitał, starają się wywołać ruchawkę przeciw rządowi, który wywłaszczył nafciarzy.

* * *

Od mniej lub więcej trafnej goetlowskiej diagnozy przechodzimy teraz do recepty, sporządzonej według zasad kuchni medycznej, która nasuwa dużo wątpliwości. Jaką radę daje Goetel państwom niesytym, z wielkiemi apetytami, nie mającym rynków zbytu, z wielką gęstością ludności i bez kolonij? Recepta Goetla jest bardzo prosta, lekarstwo końskie. Poprostu trzeba odebrać sytym to, co mają w nadmiarze, a więc kolonje, źródła surowca, tereny emigracyjne, rynki zbytu. Oczywiście można mówić tylko o względnym nadmiarze.

Argumentacja Goetla wzmocniona jest motywami moralnemi. Chodzi o naprawienie wyrządzonej krzywdy, o sprawiedliwszy podział, niemal o wywłaszczenie wywłaszczycieli. Przecież skąpy imperjalizm francuski dusi w swej symbolicznej pończosze bogate kolonje afrykańskie, przecież Australja rozpycha się na swych przestronnych terytorjach, przecież Stany Zjednoczone, a nawet taka Brazylja zamykają drzwi przed nosem immigrantów z krajów przeludnionych, dając im jednocześnie filuterną radę, aby ograniczyły przyrost ludności. A my (to w imieniu przeludnionych i agresywnych) chcemy się mnożyć. Czyż nie dość akumulowało się słusznego oburzenia moralnego, które uświęca agresję. Nienawiść biednych i głodnych przeciw bogatym i skąpym — oto struna, na której gra propaganda faszystowska, jednocześnie zarzucając socjalizmowi schlebianie najniższym instynktom ludzkim. Czy jednak z punktu widzenia moralnego wszystko jest w porządku?

Ferdynand Goetel zapomina lub przysłania oczy na jedno. Przedmiotem podziału są nie tylko bogactwa naturalne i puste tereny, są nim przedewszystkiem ludy kolorowe. Walka pomiędzy imperjalizmami toczy się o prawo do wyzysku ludów kolonjalnych, zacofanych w rozwoju, ciemnych, biednych i głodnych. Usprawiedliwianie agresji przez wskazywanie na krzywdę biednych Niemców, Japończyków i Włochów, którym nie dano dostatecznej ilości kolorowych niewolników, jest obłudne, gdyż w ten sposób zamyka się oczy na krzywdę, wyrządzaną codziennie tym, których się uszczęśliwia wyższą cywilizacją europejską.

Zapewne i imperjalizm amerykański, angielski czy francuski nie jest sielanką. Ale jest to fakt dokonany. Podbój został ukończony, wyzysk trwa. Ale każdy nowy podbój jest powiększaniem sumy okrucieństwa i zła. Pomijam już tę niewątpliwie ważną okoliczność, że państwa demokratyczne ze względu na swą strukturę wewnętrzno-polityczną natrafiają na pewne przeszkody w stosowaniu jaskrawych form ucisku, niekiedy zmuszone są nawet pod naciskiem swych mas ludowych do łagodzenia form swego kolonjalnego władania. Przykładem stopniowa emancypacja Filipin, Egiptu, Iraku, Syrji i Libanu, przykładem urękawicznione represje angielskie w stosunku do ruchu arabskiego, nie dające się porównać z brutalnym terrorem włoskim w Abisynji, albo nadawanie pełnych praw obywatelskich tubylcom w kolonjach francuskich. Tymczasem agresywny imperjalizm japoński, włoski czy niemiecki, niezależnie od tego, że niesie bezpośrednio wojnę i pożogę, nie mając tych hamulców natury wewnętrzno-politycznej, może stosować najbardziej jaskrawe formy wyzysku ekonomicznego i politycznego ucisku.

Argument moralny Goetlowi się nie udał. Agresja nie da się wytłumaczyć prawem słabszego i pokrzywdzonego, choćby dlatego, że agresja słabych jest pojęciem wewnętrznie sprzecznem. Pozostaje jednak argument inny: prawo siły. Agresja — prawem silnych, młodych, bardziej żywotnych, bardziej energicznych w swej drapieżności. Uznanie prawa silnych prowadzi jednak do uznania wiecznej wojny, wiecznego prawa do wzajemnego wyniszczania się narodów, do marnowania w krwawej rzezi niesłychanych zasobów energji i nagromadzonego już bogactwa. Bo fałszem jest twierdzenie, że są narody syte i głodne. Są tylko syte i głodne imperjalizmy, głodne kolonij, rynków, źródeł surowca — panujące monopolistyczne grupy kapitalistów. Nasycenie obecnie głodnych nie doprowadzi do uspokojenia. Bo wtedy obecnie syci staną się głodnymi i pokrzywdzonymi. Bo przez ten czas wyrosną nowe szeregi „narodów“ (czytaj kapitalizmów) młodych i prężnych, które poczują w sobie głód imperjalistyczny. Obecnie syci zdobywali swoje kolonje wtedy, kiedy na świecie istniało jeszcze dużo terytorjów, nieobjętych kapitalistycznym sposobem produkcji, kiedy chodziło tylko o podział ziem jeszcze niezajętych. Nie obyło się oczywiście bez okrutnych walk z odwiecznymi posiadaczami tych ziem, nie obyło się bez wzajemnego warczenia i potrząsania bronią, ale ostatecznie były możliwe kompromisy, podziały stref wpływów, gdyż było jeszcze co dzielić. Kiedy podział świata został w ogólnych zarysach ukończony, pierwsza próba generalnej rewizji tego podziału doprowadziła do straszliwej wojny, która niemało kosztowała ludzkość, a w porównaniu do

---

Sygn. VI. 1. Pr. 185/38 wyciąg z protokołu wspólnego posiedzenia niejawnego. Sąd Okręgowy Wydział VI karny we Lwowie w składzie Wiceprezes S. O. Malicki, Sędziowie S. O. Dr. J. Locker i P. Dysiewicz w sprawie konfiskaty nr. 45 czasopisma p. t. „Sygnały“ z daty Lwów dnia 15 maja 1938 r. do sygn. VI. 1. Pr. 185/38 na posiedzeniu niejawnem w dniu 19 maja 1938 po wysłuchaniu wniosku Prokuratora Sądu Okręgowego we Lwowie postanawia: A) uznać za usprawiedliwioną dokonaną dnia 14 maja 1938 r. przez Starostwo Grodzkie we Lwowie konfiskatę czasopisma, p. t. „Sygnały“ Nr. 45 z daty Lwów, dnia 15 maja 1938, zawierającego: w artykule, p. t. „Nagroda literacka Lwowa“ w ustępie od słów „Żyjemy“ do słów „im podoba“ znamiona wyst. z art. 170 kk. zarządzić zniszczenie całego nakładu i wydać w myśl § 493 pk. zakaz dalszego rozpowszechniania tego pisma drukowego.

Zarazem wydaje się odpowiedzialnemu redaktorowi tego czasopisma nakaz, by orzeczenie niniejsze umieścił bezpłatnie w najbliższym numerze i to na pierwszej stronie. Niewykonanie tego nakazu pociąga za sobą następstwa, przewidziane w § 21 ust. druk. z 17/12 1862 Dzpp. Nr. 6 ex 1863, t. j. zasądzenie za przekroczenie na grzywnę do 400 złotych.

B) nie uwzględnić wniosku Prokuratora o uznanie za usprawiedliwioną konfiskatę artykułu, zaczynającego się w tytule od słów „Piosenka“ w całości z tytułem z powodu znamion przest. z art. 127 kk. i konfiskatę tego artykułu uchylić. Uzasadnienie: ad A) ustęp pod A) wymieniony naświetla w sposób tendencyjny i świadomie fałszywy obecne stosunki wewnętrzne w Państwie Polskiem i w taki sposób szerzy wiadomości, mogące zaniepokoić ogół publiczny. Według §§ 487, 489, 493, pk. oraz §§ 36 i 37 ust. pras. jest zatem powyższe postanowienie uzasadnione. ad B) w artykule, zaczynającym się w tytule od słów „Piosenka“ nie dopatrzył się Sąd znamion żadnego przestępstwa, a w szczególności z art. 127 kk. Przewodniczący: Malicki wr. Protokolant: Mędraś wr. Za zgodność kier. sekr. (podpis nieczytelny).

strat dała niewiele zwycięzcom. Od tego czasu konflikty imperjalistyczne zaostrzyły się niezmiernie i nad światem wisi ciągle niebezpieczeństwo powszechnej rzezi. Włochom, wykorzystując koniunkturę międzynarodową, udało się coprawda zająć ostatni niepodległy kraj w Afryce, Abisynję, bez dalszych następstw wojennych. Ale wojna chińsko-japońska nosi już inny charakter. Chiny to nie tylko kraj jeszcze niepodzielony, Chiny to kraj, który już wkroczył na drogę własnego rozwoju kapitalistycznego i podbój Chin w niczem nie przypomina dawnych wypraw kolonjalnych. A od czasów wojny światowej większość krajów o charakterze dotychczas półkolonjalnym, jak dominja brytyjskie, Indje, Egipt, kraje południowo-amerykańskie wkroczyły na drogę intensywnego uprzemysłowienia i nie myślą wracać jedynie do roli rynków zbytu i źródeł surowca.

Uznanie prawa „pokrzywdzonych" do ekspansji imperjalistycznej to w obecnej epoce usprawiedliwienie permanentnej wojny. Goetel coprawda pociesza nas, że ekspansja imperjalistyczna nie oznacza dziś dążenia do podziału terytorjów. Ustęp ten jest tak charakterystyczny w swej podstępnej naiwności, że nie mogę się oprzeć pokusie przytoczenia go:

„Otóż nie ulega kwestji, że owa linja terytorjalna, która określa obszar państwa, straciła swe sakramentalne znaczenie, jako jedyny znak narodowego stanu posiadania. Przebieg ostatnich wydarzeń politycznych ukazuje nam szczególną walkę, pełną doniosłych zmian i wydarzeń — przyczem żadna z zainteresowanych stron nie kwestjonuje cudzych granic, ani nawet dopomina się o ich zmianę. W grę wchodzą surowce, przywileje gospodarcze, wpływy kulturalne, tereny emigracyjne. W czasach dzisiejszych można przegrać wojnę i ponieść gorzkie następstwa klęski, nie utraciwszy metra kwadratowego państwowego terytorjum. Przykład wojny chińsko-japońskiej dotychczas nawet niewypowiedzianej, toczącej się w zupełnej niemal niezależności od sprawy granic i terytorjum państwa chińskiego, jest jaskrawym dowodem tego nowego pojmowania własności i niezawisłości narodów. Granice straciły swe znaczenie w życiu zbiorowisk, tak samo, jak w życiu indywidualnem traci je własność prywatna. Prawo dyspozycji dobrami cywilizacji staje się ważniejsze, niż sam martwy fakt ich posiadania".

Mówię o podstępnej naiwności, gdyż doprawdy trudno uwierzyć, aby te słowa dyktowała bezstronna obserwacja. Krótkowzroczność i daltonizm — to byłyby jedyne właściwe oceny talentu obserwatorskiego Goetla, gdyby przypuścić, że żadne uboczne myśli nie wpłynęły na zniekształcenie jego sądów. Przykład wojny japońsko-chińskiej wybrany jest możliwie najnieszczęśliwiej, gdyż Japończycy wprawdzie w ostatniej fazie wojny nie doprowadzili jeszcze do formalnego zmniejszenia chińskiego terytorjum, ale już poprzednio oderwali od Chin Mandżurję, tworząc z niej państwo pseudo-niezależne, w gruncie rzeczy zupełnie podporządkowane Japonji. Już obecnie okupowali większą część Chin Północnych oraz Szanghaj i Nankin, największe ośrodki Chin Środkowych. Oczywiście najszczęśliwszym ze stanowiska japońskiego rezultatem wojny byłoby przyłączenie całego terytorjum Chin, utrzymanie nawet ich pozornej niezależności, jednak z odebraniem im wszelkiej władzy suwerennej. Uniknęłoby się wtedy wielu komplikacyj międzynarodowych i powikłań dyplomatycznych, związanych z formułą akredytowania przedstawicieli zagranicznych. Ale przecież każdy bezstronny obserwator przyzna, że pozbawienie suwerenności przy pozostawieniu pozorów odrębności jest tylko zamaskowaną formą aneksji.

I Goetel nie potrafi przytoczyć żadnego szczęśliwszego przykładu. Nie było wojny w ostatniem kilkudziesięcioleciu, która skończyłaby się bez aneksji, bez zmian terytorjalnych. Wynik taki mógłby być tylko rezultatem obustronnego wyczerpania w warunkach zupełnej równowagi sił, równowaga sił jest jednak tylko założeniem teoretycznem, w praktyce absolutnej równowagi nigdy się nie spotyka, a mała nawet przewaga sił doprowadzić może do walnego zwycięstwa.

Również teoretyczny fundament rozumowania Goetla jest kruchy. Oczywiście „prawo dyspozycji dobrami cywilizacji" jest ważniejsze, niż „martwy" fakt ich posiadania. Ale żywy fakt posiadania zabezpiecza w najskuteczniejszy sposób owo prawo dyspozycji. Dopiero terytorjalna aneksja daje możność zaborcy całkowicie opanować zdobyty rynek i źródła surowca, wyeliminować obcą konkurencję, zabezpieczyć sobie dyspozycję. Nigdy jeszcze granice państwowe nie miały tak sakramentalnego znaczenia, jak obecnie. Rosnące ciągle mury celne, ograniczenia dewizowe — całkowicie powojenny wytwór, embargo na wywóz kapitałów, ograniczenia imigracyjne, na które powołuje się w innem miejscu sam Goetel, wreszcie restrykcje paszportowe — do niebywałego znaczenia podniosły rolę barjer granicznych w obecnej epoce. Doskonale rozumiemy, że sam Goetel, podróżujący zapewne w warunkach uprzywilejowanych, nie odczuwa tego wzmożonego znaczenia granic państwowych. Ale wnikliwego badacza poza subjektywnemi wrażeniami obowiązuje chłodna obserwacja otaczających go zjawisk.

Ale gdybyśmy nawet przyjęli, że goetlowskie sformułowanie jest słuszne, że granice straciły wszelkie znaczenie i wielkość terytorjum państwowego nie gra roli, to jeszcze na świecie nie stanie się przez to luźniej, wszystkie imperjalizmy nie będą się mogły swobodnie rozepchnąć. Bo przecież ilość źródeł surowca, ilość i pojemność rynków zbytu (zwłaszcza wobec właściwego faszystowskiej gospodarce ograniczania zdolności nabywczej mas), ilość wreszcie terenów emigracyjnych, które w ekspansji imperjalistycznej odgrywają zresztą drugorzędną i raczej propagandową rolę — przez to się nie zwiększy. I jeśli w wyniku walk imperjalistycznych nie utracimy ani piędzi swego terytorjum państwowego, ale staniemy się jako jeden z członów „Mitteleuropy" rynkiem zbytu, źródłem surowców i terenem kolonizacyjnym niemieckim, nie osłodzi to nam naszego losu.

Im do dalszych konsekwencyj swego rozumowania dociera Goetel, tem bardziej wikła się w gąszczu sprzeczności i usiłuje z niego wydobyć na skrzydłach utopji. Ideolodzy silniejszych, agresywnych imperjalizmów mają mniejszy kłopot. Wystarczy im apologja brutalności i przemocy własnej rasy. Ale przedstawiciele faszystowskiej myśli narodów mniejszych muszą jeszcze swym czytelnikom wytłumaczyć, że nie staną się oni ofiarami zaborczego imperjalizmu państw silniejszych. I tu już potrzebna jest apologja wszystkich imperjalizmów, mistyka panimperjalizmu.

Popatrzmy, jak trzeźwy (doniedawna) Goetel, wykpiwający niechęć polskiej inteligencji do wszelkiego realizmu, brnie w mistyczne wizje:

„Wiek XX przyniósł nam nowe i niedość jeszcze zrozumiałe zjawisko pannacjonalizmu, które polega na usiłowaniach zawiązania przyjaźni między narodami z zachowaniem gorącej postawy patrjotycznej wobec własnego kraju".

Pisząc następnie o porozumieniu polsko-niemieckiem dodaje:

„...niesposób zaprzeczyć, że jest to jedno z najśmielszych, najbardziej doniosłych zamierzeń naszych czasów. Jeżeli się nie uda, klęskę poniesiemy nie tylko my, czy Niemcy, ale i cała idea nowoczesnego nacjonalizmu, cała jego moralność, zbudowana na wierze w twórcze kryterja historji, takie jak: rycerskość, szacunek dla uczuć, dotrzymywanie słowa we wspólnej sprawie" („Obce wzory', „Pion", nr. 21).

Jednem słowem, jeżeli można dobrze zrozumieć, Goetel wyobraża sobie braterską wspólnotę imperjalizmów, opartą na pobudkach irracjonalnych. Ale wspólną sprawą imperjalistów, jak wszelkich grabieżców, może być tylko wspólna zdobycz. Dopóki istnieją państwa demokratyczne, nieagresywne, państwa małe, skazane na obronę swego stanu posiadania, wreszcie państwo tak odrębnego typu ustrojowego, jak Rosja Sowiecka, dopóty możliwe są wspólne fronty, osie, trójkąty i wieloboki państw agresywnych. Wszystkie te figury geometryczne zaczęłyby się jednak rozpadać w miarę zmniejszania się ewentualnych zdobyczy, a powszechne sfaszyzowanie, czy stotalizowanie świata musiałoby doprowadzić do stanu wojny wszystkich przeciw wszystkim. Zjawisko pannacjonalizmu, które Goetel chce wytłumaczyć mistycznie, jest prostym objawem solidarności kilku zaborczych imperjalizmów, dla których pozostały świat jest dość szeroki, aby się nim podzielić.

Ale można zapytać, skąd w takim razie „pannacjonalistyczne" sympatje dla państw faszystowskich śród skrajnej prawicy angielskiej, francuskiej i innych narodów. Pannacjonalizm może mieć jeszcze inne oblicze — solidarnego frontu klasowego warstw posiadających w obronie „status quo" społecznego przeciw wszelkim próbom wprowadzenia ustroju socjalistycznego w tej czy innej formie, przeciw wszelkiemu zamachowi na własność kapitalistyczną (a nie prywatną wogóle). I taki wspólny front ma swoje historyczne tradycje tylko nie tam, gdzie ich bezprawnie poszukuje Goetel.

Goetel ma odwagę na poparcie swych pannacjonalistycznych tez powołać się na polskie, niepodległościowe hasło „Za naszą i waszą wolność", na Kościuszkę, Pułaskiego, Dąbrowskiego i Mickiewicza, którzy łączyli miłość ojczyzny z poczuciem międzynarodowej solidarności. Ale międzynarodowa solidarność bojowników niepodległości zwracała się przeciw tyranom, przeciw ówczesnym imperjalizmom, przeciw ostojom przegniłego ustroju feudalnego. Międzynarodowa solidarność narodów walczących o wolność dla siebie i innych przeciw wspólnemu wrogowi — reakcyjnym monarchjom feudalnym — nie ma nic wspólnego z pannacjonalizmem. Ekonomicznie jest ona odzwierciedleniem tego faktu, że dopóki proces tworzenia rynku wewnętrznego i wyzwalania go z pęt feudalnych nie jest zakończony, nie istnieją zasadnicze sprzeczności interesów między narodowemi grupami burżuazji, lecz tylko wspólny, solidarny front przeciw reakcji feudalnej. Dopiero, gdy burżuazja krajów, które wcześniej wkroczyły na drogę rozwoju kapitalistycznego, zaczyna hamować wyzwalanie się z pęt feudalnych innych krajów (np. Anglja w epoce napoleońskiej), lub zdradzać tendencje imperjalistyczne — rodzą się te sprzeczności. Ale i wtedy jeszcze masy ludowe, które brały udział w rewolucji antyfeudalnej, podtrzymują nadal hasło solidarności narodów. I międzynarodowa solidarność Kościuszki, Pułaskiego, Dąbrowskiego i Mickiewicza, to nie pannacjonalizm, lecz właśnie owe „międzynarodówki", tak usilnie wytykane fołksfrontowi przez towarzyszów ideowych Goetla. Natomiast solidarność międzynarodowa pannacjonalistów słusznie może sięgnąć do tradycji Świętego Przymierza i wypisać na swych sztandarach hasło: „Za naszą i waszą niewolę".

Suum cuique.

Innemi problemami w związku z artykułami Goetla zajmiemy się osobno.

Stefan Wodwicz

ZYGMUNT JAROSZ

Katolicy i Hiszpanja

„Rodacy, wznosząc Velazquezowi pomnik w rodzinnej jego Sewilli, te proste na cokule wypisali słowa: „Al pintor de la Verdad" — „Malarzowi Prawdy". Istotnie, ani przed nim, ani być może nawet po nim, nigdy nie osiągnęło malarstwo podobnej prawdziwości. Występuje ona zwłaszcza w obrazach o założeniu czysto realistycznem, takich jak: **Prządki lub Meninas.** Realizm ten zdumiewa nie tyle swym nieskazitelnie prawdziwym rysunkiem, wolnym od wszelkiej manjery stylistycznej, ile obserwacją światła i powietrza, nie mającą sobie równej w dziejach sztuki. Sprawia ona, że widz doznaje najprawdziwszego złudzenia, jakgdyby to nie obraz wisiał na ścianie, ale otwarte były drzwi do następnego pokoju, w którym rozgrywa się przedstawiona scena. Tę zdumiewającą obserwację przejął od mistrza i w niejednym obrazie zastosował Goya. Ci dwaj wielki Hiszpanie, z których jeden stanowi szczytowy punkt baroku, drugi zaś jego romantyczne odrodzenie, — byli właściwymi mistrzami Maneta".

Tak pisze w swem doskonałem studjum o „Malarstwie nowoczesnem" Wacław Husarski. Rzeczywiście: Velazquez i Goya, to najświetniejsi przedstawiciele hiszpańskiej pasji poznawczej, bezkompromisowego odtwarzania prawdy — podobnie, jak malarstwo jest dziedziną, w której najlepiej wyraziła się dusza hiszpańska, „hiszpańskość" sama, „hispanidad".

Tragedja, która rozgrywa się dziś na półwyspie iberyjskim, dostarczyła nam już niejednego dowodu, jak bezlitośnie potrafią ziomkowie „Księcia Niezłomnego" obnażać oblicze rzeczywistości, jak twardo obstają przy swoich „verba veritatis". Wystarczy wspomnieć dumną — aż do śmierci — niezależność sądów Unamuny. Wystarczy wskazać na żarliwość i oddanie, z jakiem grono pisarzy katolickich broni sprawy Republiki.

Jeden z nich, José Maria Semprun y Gurrea, napisał jeszcze w październiku 1936 roku niepospolitą rozprawkę, która pod tytułem „La question d'Espagne inconnue" ukazała się w 50-tym numerze „Esprit". Naczelny redaktor tego miesięcznika, Emmanuel Mounier, zaopatrzył ją własnym wstępem.

„...nasi czytelnicy powinni wiedzieć — czytamy tam — że nic w twojej przeszłości, kochany Semprunie, nie predysponuje cię do roli zwierciadła „lewicowych" refleksyj. Twoje wychowanie religijne, twoje pochodzenie z religijnego środowiska — sam o nich mówisz. Twoja wiara — znamy ją. Nie brakuje ci ani walorów naukowych, które świadczą o krytycznym umyśle (delegowany już w 26-tym roku życia na międzynarodowe kongresy prawnicze, w 39-tym profesor prawa handlowego i filozofji prawa na uniwersytecie w Madrycie), ani nawet pewnego dziedzictwa tradycjonalistycznego, które cię broni przed nierozważnemi porywami. W młodości walczyłeś w partji maorystów jako konserwatysta. Później zostałeś republikaninem, ale zawsze należałeś do prawicy republikańskiej, wówczas także, gdy młoda Republika mianowała cię gubernatorem Santanderu i Toleda. Nie inaczej, jak stopniowo, bez namiętności warcholskiej, ale z głębokiem cierpieniem wewnętrznem rozstawałeś się z klasami egoistycznemi czy też zaślepionemi. Ta sama przemiana powolna i głęboka kazała ci opuścić twoje ostatnie stanowiska oficjalne i zerwać z konserwatywną Republiką... Nie, taki świadek nie jest świadkiem, którego możnaby lekceważyć".[1]

„La question d'Espagne inconnue" ukazała się następnie jako odrębna broszura. Bardzo trudno ją streszczać. Dał w niej Semprun „świadectwo prawdzie", ale uczynił to w sposób tak głęboko osobisty i oryginalny, że chciałoby się całą tę pracę przetłumaczyć poprostu, a nie „opowiadać własnemi słowami...".

Czem tłumaczą się antyklerykalne ekscesy hiszpańskiego tłumu? Bardzo często tem — odpowiada Semprun — że w opinji ludu księża nie byli tak religijni, jak być powinni. Nie zarzucano duchownym, że wierzą w Chrystusa, lecz że go nie naśladują. Nie krytykowano ślubów i reguł zakonnych, lecz wytykano namiętnie wszelką im niewierność! Nie odrzucano nauki o przejściowości życia doczesnego, lecz atakowano nauczycieli, którzy zapominali o głoszonych przez siebie zasadach. Ale zdarzało się i całkiem inaczej: „Widziałem — pisze Semprun — socjalistów, komunistów i anarcho-syndykalistów, odnoszących się z sympatją, szacunkiem i braterskiem uczuciem do znajomego mi księdza, który czy to burcząc na nich po przyjacielsku, czy przekomarzając się, czy oddając czasem jakąś bezinteresowną przysługę, umiał zjednać ich serca".

Gdy rebelja wybuchła, znaczna większość kleru znalazła się u boku „powstańców". W bardzo wielu wypadkach: z bronią w ręku. „Nie zapomnę nigdy męskiej powagi, surowej goryczy, z jaką prosty proboszcz wiejski przypomniał mi á propos podobnych wydarzeń rygorystyczne dyspozycje prawa kanonicznego, zabraniające księżom pod karą irregularitatis wszelkich czynów, które pośrednio lub bezpośrednio mogą spowodować śmierć bliźniego. I teraz ja — woła ten „świadek, którego nie można zlekceważyć" — nie chcąc bynajmniej wpaść w patos retoryczny pod wpływem takich faktów, zwracam się do wszystkich wierzących, do wszystkich uczciwych ludzi z pytaniem, czy mogą sobie wyobrazić straszliwą torturę duchową, jaką stanowi dla wierzącego, dla chrześcijanina, świadomość, że jest narażony na śmierć, na utratę wolności, na zgubę życia i wolności istot, które są mu najdroższe — właśnie naskutek gwałtów ludzi, zachęcanych, wspomaganych, a nawet błogosławionych przez tych, których nazywamy „naszymi Ojcami", od których powinniśmy oczekiwać jedynie aktów miłości i miłosierdzia".

Omawiając stosunek Frontu Ludowego do zagadnień religijnych i kościelnych, cytuje Semprun ciekawą opinję Manuela Azanji, którą obecny prezydent Hiszpanji wyraził mu osobiście jeszcze przed wyborami z 16 lutego 1936 roku:

„Skorzystam z okazji, aby powiedzieć panu, że nie byłem nigdy tym „pożeraczem proboszczy", za jakiego, zdaje się, mnie mają... Zresztą, nie życzę sobie całkiem, aby polityka republikańska zajmowała się specjalnie problemami religijnemi; uważałbym to za błąd... Robiłem wysiłki, aby nadać bardziej umiarkowaną redakcję 26-temu artykułowi Konstytucji.[2] Uważałbym za niewłaściwe (de mauvais gout) i niesprawiedliwe — i zresztą bezużyteczne — gdyby pewnej pięknej nocy wszyscy wierzący mieli naraz zniknąć z Hiszpanji. Mamy inne sprawy, bardziej pilne: problem ekonomiczny, problem socjalny...".

Ale... W Madrycie naprzykład, już po zwycięstwie wyborczem Frontu Ludowego kościoły były zawsze najszczelniej zapełnione podczas mszy „eleganckich": w południe i o godzinie pierwszej. U wejścia kwestowano na „prawicowych robotników". Odbywało się to pod firmą „Białej Pomocy", nazwanej tak przez przeciwieństwo do „Czerwonej". Sprzedawano też przed drzwiami kościołów prawicowe dzienniki: „A. B. C.", „El Debate", „El Siglo Futuro". Wykwintni „senjoritos" (panicze) szli na mszę, dawali datki, kupowali gazety — odprowadzani nienawistnem spojrzeniem robotników... W głowach ludu wyobrażenie świątyń kojarzyło się z wyobrażeniem wrogiej akcji bogaczy...

W ciągu półwiecza — jak podaje Semprun — conajmniej 80% (osiemdziesiąt procent!) hiszpańskiej młodzieży burżuazyjnej otrzymywało wykształcenie w gimnazjach klerykalnych. Poziom edukacji religijnej był w nich zgoła żałosny. Pomiędzy innemi przykładami autor „La question d'Espagne inconnue" wspomina własne doświadczenie: po raz pierwszy przeczytał wszystkie Ewangelje w wiele lat po „chlubnem" ukończeniu „religijnego" gimnazjum. Ci, którzy twierdzą dziś w Hiszpanji, że bronią wiary, są najczęściej absolutnymi ignorantami w jej zakresie. „Z tej ignorancji... mogły zrodzić się tylko dwie postawy...: **ślepa** obrona i **niemniej ślepy** atak; klerykalizm i antyklerykalizm; nienawiść do rzeczy religji, pomieszanych z ich często niedoskonałemi przejawami, lub z interesami ludzkiemi, pozornie związanemi z religją — i obrona tychże interesów i przejawów materjalnych, które szczerze lub też z wyrachowania, pomieszano również z istotą religji (avec les essences religieuses); lewica prześladująca i prawica okrutnie nieubłagana. Podwójna, nieunikniona konsekwencja tej samej fatalnej (vicieuse) przyczyny...".

Jakkolwiekby się rzeczy miały, nieusprawiedliwione pozostaje, zdaniem Sempruna, współdziałanie większości kleru hiszpańskiego z rebelją. Hiszpanja przeżywała już gorsze zamieszki antyklerykalne, niż te, które miały miejsce od 16 lutego do 18 lipca 1936 roku. Dość wspomnieć choćby barceloński „krwawy tydzień" z r. 1909. Wszystkie te ekscesy razem wzięte są jednak kroplą w morzu wobec niezmierzonych okropności wojny domowej, którą wywołał Franco.

Najgłębiej wzruszające są może ostatnie strony pracy Sempruna. Wyjaśnia on, dlaczego stanął po stronie Republiki, dlaczego „wybrał lud". „Lud poniżony, zapoznany, wynędzniały, opuszczony. Lud, pra-

wdziwą ofiarę obecnej tragedji, jak zresztą prawie wszystkich ostatnich tragedyj naszej historji. Lud, który łaknie chleba, a bardziej jeszcze sprawiedliwości, który cierpi na nostalgję, maskowaną atakami wybuchającej zapalczywości, nostalgję odrobiny uczucia i zrozumienia. Lud, o którym się myśli, że go się zadowala, podnosząc mu płacę o kilka pesetów, albo klepiąc z przyjacielskim gestem protekcji jego szerokie ramiona, przeciążone brzmieniem pracy i wzgardy...".

...Czyż naprawdę słowa te odnoszą się tylko do ludu Hiszpanji?

Spośród innych prac, rozpatrujących jego dzisiejszą tragedję z katolickiego punktu widzenia, należy wymienić „Catholicisme et loyalisme", pióra Enrique Moreno.[3]) Znajdujemy tu wiele ciekawych danych i rozważań o roli kościoła w przeszłości państwa hoszpańskiego. Szeroko zwłaszcza omawia Moreno dzieje reakcyjnej partji karlistów oraz współdziałanie z nią kleru. Opowiada o pierwszych wybuchach ludowego antyklerykalizmu, o trzydziestoletnich usiłowaniach nacjonalizacji latyfundjów kościelnych, usiłowaniach, uwieńczonych nakoniec powodzeniem w latach 1835—37. Twierdzi, że do upadku wpływów duchowieństwa wśród mas przyczynił się głównie zanik rzetelnej nauki religijnej. Od połowy dziewiętnastego stulecia kler hiszpański nie może się poszczycić ani jedną postacią, ani jedną umysłowością o światowym autorytecie. Spośród żyjących znakomitości Hiszpanji: filozof Ortega y Gasset, powieściopisarze — Miro i Perez de Ayala, poeci — Jimenez, Moreno,[4]) Alberti i Altolaguirre — są wychowankami Jezuitów; żaden z nich nie uważa się za katolika.

„Jest jednakże oczywiste, że aż do początku dziewiętnastego wieku duchowieństwo hiszpańskie uczestniczyło we wszystkich ruchach kulturalnych. Oddaliła je od kultury walka karlistów z liberałami. Pierwszym jej rezultatem było rozwiązanie zakonów...". Nacjonalizacja latyfundjów, a potem sekularyzacja uniwersytetów i zniesienie fakultetów teologji przyczyniły się walnie do powstania sui generis „proletarjatu kościelnego", ubogiego, ciemnego, rozgoryczonego. Karmiony wspomnieniami świetnej przeszłości, stawał ten kler do dyspozycji każdego, w kim, zdawało się, mógł znaleźć realizatora swych „snów o potędze". Nie spełnił tych nadziei ani Primo de Rivera ani Gil Robles. Dziś znaczna większość kleru hiszpańskiego „stawia" na generalissimusa Francisco Franco.

Podobnie, jak Semprun, potępia Moreno antykościelne ekscesy hiszpańskiego tłumu. Ale podobnie też, jak on, przyznaje, że można je **zrozumieć.** Wiele bowiem tłumaczą strzały, które padły do madryckich milicjantów w dniach wybuchu rebelji... z okien kościoła Matki Boskiej z Covadonga, z katedry, z kościoła świętego Andrzeja, z klasztoru Santa Isabel la Real! Nie chce Moreno zatajać nic — mówi **całą prawdę.** Przypomina i to także, że pierwsze kościoły spłonęły w Andaluzji zaraz po ogłoszeniu w maju 1931 r. listu pasterskiego kardynała prymasa, listu wrogiego nowej Republice.

Właściwemu zagadnieniu lojalności katolików wobec prawowitej władzy poświęca Moreno końcową partję swej broszury. Nie przeprowadza jednak szczegółowej analizy odnośnych zasad doktryny kościelnej. Zadowala się przypomnieniem ogólnego jej zarysu i prostem powołaniem się na encykliki. Polemizuje ze sławnym listem zbiorowym 43 biskupów hiszpańskich, którzy 1 lipca ubiegłego roku bez zastrzeżeń opowiedzieli się po stronie rebelji. Podkreśla, że dokumentu tego **nie** podpisało jednak wielu ordynarjuszy, a brak pod nim także nazwiska kardynała — prymasa Katalonji, Vidal'a y Barraquer, arcybiskupa Tarragony.

Są katolicy i katolicy, to pewna. Bądźmy na tyle delikatni, aby żadnej ich grupy nie wtłaczać w ramki złośliwego cudzysłowu. Stwierdźmy fakt jedynie: niemasz jedności katolickiej. Tak jak niema trzeciej strony barykady. Kardynał Baudrillart i kardynał Innitzer **pozornie** tylko znajdują się w tym samym obozie. Front hiszpański podzielił **także** katolików hiszpańskich. Rzeczywistość procesu historycznego okazała się silniejsza od wyrozumowanej złudy zjednoczenia na gruncie abstrakcyjnej doktryny. Kto nie chce tego widzieć — oślepia się dobrowolnie.

Zygmunt Jarosz

[1]) Podobnie — dodajmy od siebie — nie można lekceważyć opinji Mouniera. Dominique Auvergne w swej świeżo w Paryżu wydanej, a niezmiernie interesującej książce, pt.: „Regard catholiques sur le monde", stawia redaktora „Esprit" w rzędzie 14 najwybitniejszych umysłów katolickich Francji współczesnej.

[2]) Zajmującemu się uregulowaniem kwestji religijnej — przyp. Sempruna.

[3]) Enrique Moreno. Catholicisme et loyalisme. Paris. Editions des Archives Espagnoles; str. 39 i 1 nl. (1938?).

[4]) Ale nie autor omawianej broszury!

HENRYK KASSYANOWICZ

Droga do Wilna

Na peronie dworca wschodniego dął ostry, zimny wiatr, sypiąc w oczy miałkim, błyszczącym, srebrzystym, jak płatki bornego kwasu, śniegiem i tylko tam, gdzie zadyszane lokomotywy sapały strugami pary, a z odkręconych kurków sikała gorąca woda, na brudnawym, śnieżnym chodniku tworzyły się czarne wyrwy. W uszy i policzki szczypał mróz.

Postanowienie było dziełem jednej chwili. Szybko, byle jego wyszarzane palto nie wzbudziło podejrzeń obsługi kolejowej, skoczył na schodki wagonu, zdążył jeszcze przeczytać na tablicy, kierunek jazdy: Warszawa Wschodnia — Białystok — Wilno — Turmonty — i już za chwilę znalazł się w pustym przedziale. Skulił się tedy, jakby taka pozycja przyczyniała się do szybszego rozgrzania zmarzniętych kończyn i począł rozcierać zgrabiałe dłonie.

Co chwila ktoś przechodził korytarzem, przez szybę widział przemykające się oko latarni i otulone aż po brodę twarze konduktorów.

Był głodny, a wyostrzonem powonieniem wyczuwał w kieszeni obecność resztek niedojedzonej smakowitej kiełbasy. Odsunąwszy się więc od okna począł jeść. Jeść! — nie, to było poprostu rwanie kawałkami miękkiego, soczystego mięsa... Cały mięsożerny instynkt ludzki zawarł się teraz w szczękach.

To jedyne pożywienie na dziś. Pieniędzy więcej nie miał i któż wie, gdzie będzie jutro ?Gdzie? — oh! — wydawało się to Kazimierzowi Szarudze zupełnie obojętne i małoznaczące. Gdziekolwiek będzie, nie będzie to napewno ani kres podróży, ani choćby dłuższy postój. Skoro go już raz los oderwał od stron rodzinnych, to czyż nie wszystko jedno, dokąd go rzuci? Był jak liść, poganiany wiatrem dopóty, aż nie wtrąci go do jakiegoś dołu, gdzie zgnije...

Do wagonu wtłoczył się barczysty jegomość, o czerwonej, mięsistej twarzy i byczym karku, na którym osadzona była wielka, okryta rdzawą gęstwą włosów głowa. Rozejrzał się bacznie po przedziale, zajrzał do następnego, mruknął coś niechętnie, dotknął niedowierzająco rur ogrzewalnych i wreszcie huknął na tragarza:

— No, prędzej! Tutaj kłaść! — a gdy pękate walizy zostały wreszcie ulokowane na półkach i właściciel zdołał policzyć, że są wszystkie, sięgnął do kieszeni i z garści brzęczących miedziaków wyłowił pięćdziesiątkę.

— Co, mało? A taksa? Taksy się trzymać! Psiakrew, zawsze chcą więcej, niż warta jest ich praca!...

Zdjął futro, rozparł się wygodnie i wyjął papierosa.

— Uff, drań每stwo! A pan dokąd? — począł się przyglądać Szarudze.

— Ja? Ja do Małkini, za pracą — odpowiedział, choć właśnie czuł, że nie powinien tego był mówić. Za pracą, a więc bezrobotny, a ludzie bezrobotni, w wyszarzałym płaszczu i pokrzywionych butach, z zarostem na zastrachanej, nieufnej twarzy biedaka, gotowego każdemu ustąpić miejsce, czującego całą swą nędzę niepotrzebnego istnienia — są w towarzystwie osobników, jak ten, pewnych siebie i czujących całą ważność swego nabitego portfelu — conajmniej zbędni, jeśli nie znienawidzeni.

— A co pan za jeden?

W Szarudze coś warknęło nieprzejednanie, chciał odpowiedzieć arogancko, pytaniem na pytanie, lecz spojrzał na futro, podbite piżmowcami... Nie, w żadnym wypadku nie wolno mu prowokować zajścia — policja, protokół i kto wie, jaki koniec.

— Mam obiecaną pracę, znajomi mi ją wyrobili. W Warszawie zredukowali mnie, a na prowincji zawsze łatwiej coś dostać.

— Aha — temu znaczącemu przytaknięciu towarzyszyło bębnienie palcami po szybie i nagle pytający odwrócił się od okna, spojrzał na swe walizki, sterczącą z kieszeni futra gazetę z czerwonym tytułem i:

— Nie, chwała Bogu, wszystko dotąd w porządku.

Szaruga mimo postanowień przyjmowania chłodno i beznamiętnie wszelkich obelg, które go mogą dotknąć, zerwał się z ławki.

— To bezczelnie... Pan mnie podejrzewa!...

— Nie, nie, złodziejem pan nie jest, za głupią ma pan gębę, ale założyłbym się, że to podróż na gapę...

I Szaruga ostygł momentalnie. Nie miał prawa się obrażać, nie mógł mieć honoru. Kto wstępuje na tę drogę, musi zgodzić się, że pierwszy lepszy człowiek, uprawniony do tego czy nie, zwymyśla go i odda policji.

— Ależ cóż znowu, mam bilet...

— A, no zobaczymy.

Jegomość podniósł się i ruszył ku drzwiom i wtedy buta Szarugi załamała się.

— Niech mnie pan nie wydaje, jadę rzeczywiście bez biletu, ale muszę z Warszawy wyjechać, zdechnę tu z głodu, albo będę musiał kraść.

Tamten zaśmiał się tryumfująco.

— A! więc ptaszek jest? O, mam dobre oko, takiego typka, co to przemyca się na gapę, odrazu zdaleka poznam. Niesie od niego darmochą i złodziejstwem. Znamy się.

Czerwona, zażywna twarz oblekła się jeszcze czerwieńszemi plamami.

— Psiakrew! Wszędzie ta plaga, gdzie się nie obrócisz — bezrobotny. Płać składki, ubezpieczenia i czort wie co jeszcze i tu jeszcze w pociągu znosić musisz takie złodziejskie towarzystwo...

Kazimierz czuł, jak twarz jego staje się coraz bledsza i coraz chłodniejsza.

— Milczeć! Dość tego! Jestem bezrobotny, nędzarz, każda szuja uważa, że może mnie zelżyć bezkarnie i jeszcze szczuć policją. Nie mam futra ani wypchanego portfelu, ale napewno nie mam też takiego parszywego sumienia.

Grubas żachnął się, otwierał gwałtownie drzwi, ale Szaruga w chwilach, gdy umysł jego pochłaniały oburzenie i gniew, miał w sobie taką siłę, która osadzała w miejscu największe grubijaństwa. Najbardziej niepohamowane charaktery ulegały wtedy sugestywnej i nakazującej sile jego wzroku.

— Wiem, płaci pan składki, ponosi pan ciężary, może czasem dzieje się panu krzywda, ale temu najmniej jestem winien ja, chyba tylko dlatego, że się urodziłem. Mówię o sobie, dlatego, że za innych nie mogę ponosić odpowiedzialności i pan nie ma prawa narzucać mi jej. Chcę pracować, niech pan da mi pracę, ladajaką, za grosze, będę pracował, ale pozwolić mieszać się z błotem tylko dlatego, że... Prawda, to jest moje przestępstwo, — chcę jechać bez biletu, ale ten wyjazd uratuje mnie przed czemś gorszem, niż zubożenie państwa o te kilka złotych.

— Ta, ta, ta. Bardzo ładnie powiedziane. Jak to się mówi, z sercem, ale znamy się i na tem. Trochęś szkoły liznął, łobuzie, nie oddam cię policji, ale won stąd. Jak będziesz jechał pod konwojem, to każdy będzie wiedział, że opryszek, ale mieszać się z porządnymi ludźmi wara... Psiakrew! Nie mogą tego robactwa gdzie powystrzelać.

Szaruga wyszedł, — i tak się przecież dobrze skończyło. Na peronie znów wiatr chwycił go w objęcia, momentalnie poczęły marznąć palce u nóg, bo buty miał dziurawe. Chwilę się tylko wahał. Wracać po pierwszym nieudanym występie? Nie, musiał być na to przygotowany.

Były to już ostatnie minuty przed odjazdem pociągu i pasażerowie tłumnie cisnęli się do wagonów. Biegli drepcąc szybko po śniegu, skurczeni, okutani w futra — wyglądały tylko nosy zaczerwienione. Popchnął Szarugę jakiś tragarz, jeszcze zdaleka zza naładowanych na to bydle robocze walizek i kuferków dobiegły go wymyślania. Usunął się skwapliwie w zaciszne miejsce, obok tablicy z godzinami odjazdów. Padał tutaj cień od wagonów pociągu, nikt go tu nie zauważy i nikomu nie będzie stał na drodze, ale począł dygotać z zimna, ustał ból odmrożonych palców u nóg i coraz mocniejsze było przeświadczenie, że chyba przyrósł do ziemi. Z trzaskiem zamykano drzwi, wzdłuż pociągu przebiegały czerwone światełka, ostatnie słowa pożegnania tężały w mroźnem powietrzu, ktoś czegoś zapomniał, ktoś obiecywał natychmiast po przyjeździe napisać, ktoś ostrzegał przed złodziejami i wreszcie lokomotywa sapnęła leniwie, buchnęła parą i miarowo poczęła przebierać kołami, dach peronu uciekał coraz szybciej.

Szaruga wskoczył na stopnie, wsunął się na korytarz, stanął przy oknie i patrzał w czerń nocy, wdzierającą się przez zapotniałe szyby. Noc popstrzona była światełkami ostatnich uliczek Pragi, minęli Radzymińską, już tylko gdzieniegdzie pojawiał się jakiś ognik, jeszcze go było widać przez chwilę i gasł przyduszony mgłą oddalenia. Zato od przodu pociągu, od lokomotywy leciały stada iskier, rozprzestrzeniały się, przypadały ku ziemi i też gasły. Tak go żegnała Warszawa.

Językiem zwilżył wargi i uporczywie, nieruchomo patrzał w noc, aby nie spłoszyć zawieszonej w kąciku oka łzy.

Szła kontrola. Słychać już było żywsze głosy, jakąś sprzeczkę, za chwilę będą tu, ale Szaruga spostrzegł się w porę. Wiedział, że w ubikacji nie skryje się, sztuczka z przemyceniem się na sprawdzoną już przestrzeń pociągu, w czasie, gdy konduktor zajęty jest kontrolowaniem biletów i nie obserwuje korytarza, mogła się nie udać, podszedł tedy do drzwi i otworzył je. Buchnął mu w twarz ostry wiew powietrza, zatamował oddech na sekundę i mroźną falą wdarł się do korytarza. Walcząc z przymykającym drzwi wiatrem, powoli, obmacując nogą stopień oślizgły i zimny, tak, iż przywierała doń momentalnie rozgrzana nieco skóra palców, znalazł mocne oparcie i gdy druga noga stanęła obok pierwszej, ręce z klamki drzwiczek przesunęły się na stalowe poręcze, poczem ostrożnie, nie wzbudzając hałasu przycisnął drzwi.

Lecieli teraz w przestrzeń, ciemną, tajemniczą — wielki, dyszący parą, sypiący tysiącem iskier z rozpłomienionej gardzieli potwór ze stali i przytulony, zsiniały od zimna, mały człowiek.

Na ciemne płachty pól kładły się jasne, wydłużone smugi świateł, bijących z okien, podrygiwały śmiesznie, łączyły się z sobą, odsuwały się, niezmiennie, uporczywie biegnąc trop w trop za pociągiem, raz przybierając formę trapezów, to znów prostokątów, to znów innych jakichś stworów geometrycznych. Ciemność nadawała mijanym domkom dróżniczym koszmarne kształty. Były kanciaste, sztywne, nieproporcjonalne, milczące i posępne. Lokomotywa obsypywała je złocisto-krwawym deszczem roziskrzonych motyli, światła okien zaglądały w szyby. Teraz znów uderzyła w nich ściana lasu, rozłupała się na dwie części i stworzyła nad nimi i przed nimi ruchomy wał gałęzi i pni. Na gałęziach, nabrzmiałych, napuchłych kiściami śniegu migotały srebrne i złote błyski. Cisza. Śnieg w taką noc bezszelestną, to jak olbrzymi całun nad zastygłym w martwocie światem. Las wyglądał jak jedno posępne cmentarzysko, o wielkich, sięgających stropu nieba krzyżach.

Szaruga czuł, że lada chwila zgrabiałe palce puszczą poręcz, nóg już wcale nie czuł, było mu niewygodnie w tej pozycji, chciał się poruszyć, aby namacalnie odczuć, że nogi mu jeszcze nie odpadły, nie zamieniły się w dwie kłody drzewa, ale bał się, że poślizgnie się i runie pod koła.

Śmierć... Wzdrygnął się. Czuł aż do bólu fizycznego niemal tę możliwość, gdy koła wrzynają mu się w krtań, bluzga krew, gorąca, parująca, zlewa biały śnieg. Zatrzymują pociąg? — nie, ktoby zauważył jego śmierć, dopiero rankiem dróżnik znajdzie zwłoki.

I przez chwilę szalona myśl — szybko się wszystko skończy... Tylko jeden mocny stuk w głowę, jakiś ciężar rozwalający mu czaszkę, miażdżący ją, przez mgnienie gorąco i...

To była chwila. Szaruga zdziwił się, ile okrucieństwa mieści się w myśli o własnej śmierci.

Pociąg ciągle pędził wdal, ciszę rozdarł przeciągły, przejmujący rozpaczliwym skowytem gwizd, gęściej posypały się iskry. Dojeżdżali zapewne do stacji. Nareszcie, — za szybą mignął cień ludziej postaci — to konduktor po sprawdzeniu biletów tego przedziału szedł dalej. Ta jazda szaleńcza trwała zaledwie dziesięć minut, a Kazimierzowi wydawało się, że godziny całe. Zgrabiałe palce nie miały w sobie ani krzty siły, próżno naciskał klamkę, opierał się na niej całą siłą ramienia. Wtem osunęła mu się noga, czuł, że leci wdół, na moment dojrzał migającą mu pod stopami ziemię, ręka zsunęła się bezwładnie wzdłuż poręczy. Już w głowie czuł stukot kół, mózg pracował intensywnie, natomiast ciało stawało się coraz bardziej bezwładne i zupełnie obojętne na zgrozę śmierci. Kiedy mózg błagał mięśnie o trochę wysiłku, o trochę instyktu samozachowawczego, ten bezwład rąk i nóg, uginających się ku ziemi wydawał się kojący. Niech się dzieje, co chce, byle nie potrzebował prężyć muskułów, byle mu pozwolono pochylić głowę i lecieć nią wdół...

Ukląkł na stopień, głowę oparł o poręcz. Zwolna przytomniał, otworzył oczy, widział teraz uciekające spod kół złączenia szyn, głowa podskakiwała przy każdym

TADEUSZ HOLLENDER

SAMOLOTEM DO PALESTYNY

Lwów

Formalności celne i paszportowe trwają we Lwowie krótko. Celnik jest taktowny i uprzejmy. Wierzy „na słowo", kiedy oświadczam, że mam przy sobie nawet mniej pieniędzy, niż pozwoliła mi wywieźć komisja dewizowa. Jego pytanie, czy posiadam przy sobie złoto, które chcę wywieźć zagranicę, wywołuje uśmiech na jego i mojej twarzy. Stanowczo nie wyglądam na takiego.

Posuwanie się w powietrzu jest raczej monotonne. Tylko przejście samolotu przez chmurę powoduje wstrząsy i nagłe zrywy. Pani i starszy pan, czytający angielskie książki i gazety, są tem nieco zaniepokojeni. Pani nerwowo chwyta za poręcz fotela, jakgdyby to mogło jej w czemkolwiek pomóc w razie katastrofy. Pod koniec podróży, już nad Bukaresztem, pani doznaje nerwowego ataczku, niegroźnego zresztą. Z tragiczną miną chwyta się rękami za uszy — nie może znieść monotonnego, nieustannego szumu maszyny.

Czerniowce

Szum motoru słabnie wreszcie. Widać już lekką linję śmigła, które dotychczas tworzyło tęczowe koło przed skrzydłem samolotu. Ziemia zbliża się, widzimy ją nagle z boku, podobnie jak niebo. Lądujemy w Czerniowcach, gdzie nastąpi sprawdzenie paszportów i przesunięcie zegarków o jedną godzinę naprzód.

Przed lotniskiem stoi „żupak", żołnierz rumuński. Ma poczciwą, szeroką, „słowiańską" raczej twarz. Jest ogolony i zielony, może tylko gorzej umundurowany, niż nasi.

Szerokie, rozlewne, letnie popołudnie. Od strony hangarów idzie pani w towarzystwie niezwykle eleganckiego oficera i cywila. Kiedy ustał szum motoru, rozlewa się dokoła niezmierna cisza. Jest polnie i niesłychanie rozlegle. W zielonych trawach lotniska cykają niewidzialne świerszcze.

Cała obsługa „Lotu", zarówno załoga samolotu, jak wszyscy urzędnicy na stacjach są bardzo uprzejmi. Tak długą serję uprzejmych i czarujących ludzi już dawno nie udało mi się spotkać w ciągu dwóch dni. Wydaje się, że „Lot" wybrał specjalnie najuprzejmiejszych ludzi w Polsce i obsadził nimi wszystkie swoje placówki drogą jakiegoś tajnego konkursu. Być może dlatego jest w Polsce tak mało ludzi naprawdę uprzejmych.

— Bartek! Złaź z maszyny! — Ten okrzyk zwiastuje odlot. Formalności w Czerniowcach trwają krótko. Pytania, odpowiedzi padają po polsku.

W powietrzu

Krajobraz rumuński nie różni się zbytnio od polskiego. Przejście jest niewidoczne. Przyczynia się do tego zapewne wielka wysokość, na której lecimy. „Odległość widzenia dobra, wiatr z szybkością..." — teraz dopiero rozumie się naprawdę te słowa radjowych komunikatów meteorologicznych.

W powietrzu rozumie się jeszcze inne rzeczy. Mówi się naprzykład, że rzeka to „wstęga", oczywiście „srebrna". Tę poetycką przenośnię, mocno już zbanalizowaną i wyświechtaną, pachnącą dzisiaj tanim romansem, może znowu odświeżyć widok zgóry, w zapadającem, wspaniałem słońcu. Naprawdę, nawet niegrafomanowi trudno chyba znaleźć inne określenie dla tych poplątanych sznurków srebra.

Za chwilę rzeki i ziemię zakrywają chmury. Wyglądają jak zwały puszystej waty, skondensowanego mleka i zastygłej lawy. Całe krajobrazy chmurzyste, przez które niekiedy prześwieca zieleń i szarość ziemi.

Bukareszt

Uprzejmość urzędników „Lotu" wzrasta nieustannie. Zaczynam już lękać, że przy końcu podróży ludzie ci zamienią się w jakichś demonów grzeczności, z którymi nie będzie można wytrzymać.

Miasto oglądam pobieżnie z okien autobusu „Lotu". Jedziemy do hotelu. Dokładniejsze oglądnięcie przesuwam na powrót. W restauracji hotelowej oglądam w spisie potraw jakieś „Canapoda polonaise" i „Chaufleur polonaise", ale nie mam odwagi. Wolę zwyczajny steak, wiem, co mnie czeka. I oczywiście pierwsze wino za grosze.

W pokoju hotelowym wisi napis, echo ostatnich zarządzeń politycznych. Napis jest w czterech językach, także po niemiecku. Przepisuję go w notesie: „Laut den öffentlichen Verordnungen, bringen wir hiermit zur Kenntniss, das die P. T. Gäste gebeten werden alle Versammlungen und politischen Gesprächen zu vermeiden. Widrigenfalls sind wir gezwungen sofort das verlassen des Hotels zu erbitten". (Niemczyznę obwieszczenia podaję na odpowiedzialność zarządu hotelu. Dowiaduję się przy okazji, że inny hotel, z którego korzystał „Lot", lokując w nim swoich pasażerów, został niedawno zamknięty. Czyżby za „politischen Gesprächen der P. T. Gäste"?).

W każdym sklepie i na każdym pieniążku król i syn. Przed wielkim gmachem, naprzeciw jakiegoś budynku uniwersyteckiego, ufundowanego przez Karola I, operetkowi trochę, biali gwardziści z pióropuszami na kaskach.

Ogromna ilość tanich owoców, oliwkowe typy, bruneci aż czarni od słońca, oscylujący charakterem twarzy między murzynami a cyganami, brudne stare kobiety o rozchełstanych koszulach na piersiach w bocznych uliczkach miasta, wytwornie skrojeni oficerowie, przesadnie eleganckie, piękne zresztą, kobiety, wreszcie kawiarnie, zaczynające się już na ulicach i domieszka wschodniego brudu — wskazują nieustannie, że to już Bałkan i już Południe.

Szych i blichtr. Jest on i w owych gwardzistach i w przesadzie strojów i nawet w tem jaskrawem oświetleniu gmachów publicznych w zwykły, nieświąteczny wieczór. W księgarniach ogromna przewaga francuskich książek.

Wschodni Bukareszt żegna nas o szóstej rano wózkiem, zaprzężonym w ciężkie woły o charakterystycznych, szeroko rozstawionych rogach przy strada Clemenceau, w samem sercu miasta.

W powietrzu

Znowu widzimy niebo i ziemię przez chwilę ukośnie, znowu w pogodny ranek płyną pod nami ziemskie krajobrazy. Jesteśmy tak wysoko, że nie wiem, gdzie się zaczyna granica bułgarska. Ta sama ziemia płynie pod nami. Dopiero szeroka „wstęga" (patrz wyżej) Dunaju mówi, że to gdzieś tutaj.

Ale wiem, że ukazuje mi się tutaj cała śmieszność granic. Godzina w powietrzu — i zdaję sobie sprawę, że w urzędzie celnym na nowem lotnisku zobaczę twarz innego pana, który w charakterze króla żyje sobie w jednym z wielkich domów następnego miasta. Inny pan w mundurze na tutaj prawo rozkazywania. I kiedy opadając nad Sofją widzę pociąg uśmiecham się, bo wiem, że pan, który nazywa się tutaj carem, bardzo lubi prowadzić lokomotywę. Może także obudził się wcześnie i stoi przy skomplikowanych kółkach parowej maszyny, którą wymyślili inni. Kto wie, może bawi się w ten sposób. Być królem, to także nudne zajęcie.

Sofja

Witają nas tutaj sympatyczni Bułgarzy w mundurach i czapkach, które formą i barwą przypominają rosyjskie. Porozumiewamy się łatwo. Słowianie są naprawdę jeszcze ciągle dużą rodziną, rodziną bardzo kłótliwą; pod tym względem nie zmienili się także.

Na lotnisku stoi mały, czerwony samolocik, marki włoskiej. Za chwilę wzniesie się w powietrze, jak i my, ponad czerwoną, bułgarską ziemię.

W powietrzu

Ziemia bułgarska jest czerwona. Poetyckie skojarzenia, do których mam ciągle słabość, usiłując ją zwalczyć, bo moje skojarzenia wydają mi się zbyt często tanie, każą powiedzieć sobie samemu, że ziemia ta jest czerwona od krwi, którą tu rozlewano często i obficie. Oczywiście, że to nic nie znaczy.

Pod nami wielkie masywy górskie Bałkanu. Niektóre szczyty są ośnieżone. Gdzieś tutaj, nie wiem nawet gdzie, sterczy pasmo Pirynu; rozegrała się tam niedawno tragedja polskiego samolotu.

Saloniki

A więc Macedonja. Zaczyna się morze, które towarzyszyć nam będzie aż do kresu podróży. Kolor ma intensywnie błękitny, zielono-seledynowy u brzegów. Ponieważ niebo i góry zoddali mają ten sam kolor, linja horyzontu zlewa się zupełnie. W urzędzie pojawił się na ścianie nowy pan w mundurze.

W powietrzu

Zaczęła się także ziemia innego pana w mundurze. W Grecji nie sprawdza się na lotnisku paszportów, nie trzeba również wiz tranzytowych. I to mi się podoba.

Tutaj dopiero można zgóry zrozumieć, co to jest „fizyczna mapa ziemi". Zatoki, wyspy, góry, na które się spogląda z tak wysoka, są plastyczną mapą i lekcją geografji. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, co to jest „mapa". Podróże kształcą, wiadomo, jak mówią głupie przysłowia, które są mądrością narodów.

Ateny

Znowu ta wyjątkowa uprzejmość, wobec której człowiek boi się poprostu każdego ruchu, aby nie być w niczem nietaktownym. Przy stole, w sali, w której jemy obiad, międzynarodówka. Dwóch Żydów z Rumunji, jeden z Palestyny (pochodzi z Polski), jakaś bułgarska rodzina żydowska, dwóch Polaków, którzy wyjeżdżają na wakacje na Rodos, jakiś Grek — melanż bałkańsko-słowiański, który sprawia, że ten obiad jest przypadkową wieżą Babel. W tym melanżu najbardziej zachodnio przedstawiają się Polacy. Stwierdzam to bez cienia szowinizmu. Prawie wszyscy są rośli i doskonale ubrani. Bardzo sympatyczny naród zagranicą. Czasem trzeba wyjechać, aby móc ocenić cechy swego narodu.

W powietrzu

Myślicie, że wyspy greckie są zielone. Wyskakują teraz jedna za drugą, ale zieleni na nich nie widać. Są poszarpane, szare, bezbarwne, ale naprawdę i pod każdym względem fantastyczne. Oblewa je wielkie morze błękitne i czyste, może dlatego, że jest rezerwuarem nieczystości, które niosą z miast wszystkie rzeki świata i wszystkie porty Morza Śródziemnego.

Morze jest u brzegów tak nieprzyzwoicie zielone, jak na znanych, szczególnie we Lwowie, złych obrazach Wygrzywalskiego, przypominających oleodruki. Jest prawdopodobnie dlatego piękne, że jest takie naprawdę, a tak brzydkie na obrazach, bo namalowano je „jak żywe". Irytuję się, bo nie wiem, co to są za wyspy. Właściwie każda z nich powinna mieć na grzbiecie napis, choćby skomponowany z rzędów drzew, albo z grządek. W powietrzu chce się bardzo wiedzieć, gdzie się jest na ziemi.

Rodos

Hangary włoskie są pomalowane ochronnym kolorem, przypominającym salamandry, szarym w zielone plamy, czy odwrotnie. Salamandry są oczywiście bardziej jaskrawe i dziwię się, że względy wojskowe przeważyły u tego teatralnego narodu. To wrażenie nagradza mi urzędnik celny, malutki, śmieszny facet z piórkiem i ogromnym rewolwerem, który zabawnie uderza go po tylnej części ciała.

Hangary są szczelnie zamknięte. Przeczuwam w nich samoloty wojenne. W barakach rozebrani i leżący pod południowem słońcem żołnierze nie wyglądają najświetniej. Natomiast świetnie wygląda młodzieniec w białym mundurze i wspaniałej czapie, przepasany błękitną wstęgą. Operetkowe wojsko. Prawdziwym Włochem wydał mi się tylko właściciel pensjonatu, który przyjął dwóch panów z Polski, jako wielbiciel turystów z prawdziwym entuzjazmem. Trudno mi uwierzyć w nowe imperjum. Ale hangary na Rodos są budowane solidnie i nie bez kozery. Na Rodos można zobaczyć hangary na Anglję i widoki na Turcję, których góry błękitnieją w bliskiej odległości.

Niemniej imperjum staje się faktem. Wydaje mi się tylko, że żądać „rzymskości" od dzisiejszych Włochów, to znaczy to samo, co nakazać dzisiejszym Grekom, aby zaczęli wydawać drugiego Homera, Sokratesa, Euklidesa czy Pindara. To bardzo trudne.

Na wyspie róż nie zobaczyłem ani jednej róży. Dużo spalonej trawy i szarości. To wszystko.

W powietrzu

Przedsmak ostatniego etapu podróży daje mi współpasażer, Żyd z Polski, mieszkający od ośmiu lat w Tel Avivie. Objaśnił mnie, że w Rodi, głównem mieście Rodosu, mieszka 50.000 Żydów i znajduje się tam słynna szkoła rabinów. Kiedy mu odpowiedziałem, że wolałbym, aby się tam znajdowała równie słynna szkoła n. p. żydowskich inżynierów, posmutniał wyraźnie. Wobec tego zacząłem z nim rozmowę o Grecji.

Z melancholją mówiłem, że kiedyś był to najdzdolniejszy naród na świecie. Uśmiechnął się z wyraźną wyższością i powiedział, że Żydzi zawsze byli i są najdolniejsi. Sprzeciwiłem się, twierdząc, że dopiero w ostatnich czasach weszli na serjo do kultury. Do czasów niedawnych, poza jedną religją, która zrobiła oszałamiającą karjerę, nie dali ludzkości zbyt wiele. Mój towarzysz znowu posmutniał. Ożywił się nad morzem, które oblewa Palestynę. Oświadczył, że jest to najpiękniejsza część Morza Śródziemnego. Sprzeciwiłem się dla przekory, bo morze było wszędzie jednakowe, twierdząc, że Morze Egejskie, nad którem leciełiśmy przedtem, jest znacznie piękniejsze. Mój towarzysz znowu posmutniał, tem bardziej, że szum motoru był zbyt głośny, aby można się było sprzeczać.

Pomyślałem, że nacjonalizm jest wszędzie taki sam i wobec tego niedługo zasnąłem.

Nad Tel Avivem

Obudził mnie przyciszony szum motoru. Ten paradoks jest zrozumiały dopiero w samolocie. Na żółtych piaskach przybliżała się do nas panorama Jaffy i Tel Avivu. Wielka przestrzeń ziemi największych ludzkich tragedyj i nadziei.

Anglicy, Arabowie, Żydzi, Polacy — palestyński melanż. Urzędnik celny, Arab, interesował się, czy mam broń. Był to pierwszy gorliwiec, którego spotkałem w tej drodze. Przeszukał wszystkie walizki. Kwestjonował maszynę do pisania, miał ochotę ją oclić. Uśmierzyła go dopiero legitymacja Związku Zawodowego Literatów. Okazało się, że pracował na wieczność, licząc, że go „opiszę". Peractum est. Uczyniłem to teraz. A drugiego dnia wieczorem już z palestyńskiego dziennika radjowego dowiedziałem się, że samolot „Lotu" pobił rekord z nami rekord szybkości na tej trasie. Pełen sportowej, choć niezasłużonej dumy z „wyczynu" lotniczego, w którym brałem, coprawda mimowolny, udział, postawiłem pierwsze kroki na Ziemi Świętej.

---

wstrząsie. Ten wstrząs zapewne przywrócił mu świadomość, a pęd powietrza ochłodził czoło. Spojrzał na swe palce — były skrwawione i lepkie, widocznie w uporczywej walce ze śmiercią aż tak silnie zacisnął ręce dookoła poręczy i paznokciami rozciął skórę.

Pociąg począł zwalniać, rozległ się charkot ściśniętych hamulcami kół. Stacja. Zapewne Tłuszcz — ktoś wysiadł i przeszedłszy mimo, roztopił się w czerni. Gdzieś zdala, od pobliskich budynków leciało ujadanie psa. Zaspany zawiadowca wybrnął z zasp śniegu i mamrocząc coś do konduktora zaglądał w zapocone ślepia wagonów.

Teraz Szaruga odważył się wejść do pierwszego przedziału. Na jednej ławce spało dwoje dzieci. Dziewczynka z rozrzuconą na zaimprowizowanej z palta poduszce grzywką jasnych włosków i chłopczyk, z nosem wtulonym w ojcowskie ramiona. Na przeciwległej ławce całe towarzystwo z zadartemi do góry nosami chrapało na wszelkie możliwe tony — jakaś jejmość gwizdała dyszkancikiem, ojciec rodziny porykiwał scicha, wtulona w kąt przy oknie z czerwoną twarzą dama dmuchała, dmuchanie to przypominało parskanie konia. Gdy Kazimierz wślizgnął się, nikt nawet nie podniósł głowy, zdjął więc coprędzej palto, usiadł na wolnym brzegu ławki i otuliwszy się niem, udał spokojnego pasażera, zmorzonego już od samej Warszawy snem. Nie zaniedbał jednak czujnego obserwowania korytarza. Kilkakrotnie jeszcze przeszła kontrola, konduktor zajrzał do przedziału, popatrzył, starając się wyłuskać jakąś nową twarz, której posiadacz nie miał jeszcze odziurkowanego biletu i poszedł dalej.

Dla Kazimierza to udawanie snu było coraz uciążliwsze i coraz trudniej było mu walczyć z rzeczywistem znużeniem. Zużywał dużo wysiłku, by opadające powieki utrzymać, lecz kołysany drganiem wagonu, przesycony wrażeniami mózg począł pracować coraz leniwiej, coraz chaotyczniej, aż wreszcie poczęły się zacierać kontury rzeczywistości, jeszcze z uporem chwytał jakieś myśli, jeszcze się budził z drzemki, poomacku gonił za uciekającemi wątkami wspomnień, grzebał w pamięci, ale zwolna, jakgdyby kruszyła się cała czaszka, a mózg rozdrabniał się, rozpylał na atomy.

Henryk Kassyanowicz

Fragment powieści: „Źrenice czerwone od gromu".

Piosenka posła Są-sioda*)

(Na melodję „Marszu ołowianych żołnierzyków" Jessla).

I

Mnie wybrał klub
rządowych grup,
bym ja wykopał zbrodni grób.
Uznania moc
mam w dzień i noc
od wielu dób!

Przyszła moda od są-siada
na liktorskie pęki rózg.
To na moje pisma woda,
bo tu niepotrzebny mózg.

To po średniowieczu spadek,
tu wystarczy pięść i bat —
i nie poseł, lecz pośladek!
Jakiem ja — Marquis de Zad.

Niema miejsca już w więzieniach —
krzyczą, że zabrakło prycz.
Wezmą brzuchy do siedzenia,
gdy ich schłoszczę — Boży kicz.

To są świetne wzory Konga —
szkoda zamków, szkoda krat.
Niech poczyta drab u drąga
chociaż raz Journal de bat!

II

Ty sobie wrzeszcz,
czy chłop czy wieszcz,
a baty spadną tak jak deszcz.
Ty mów do głów,
a ja bez słów —
i bracie leż.

Co mi oko tam za oko —
Hammurabi? Ząb za ząb.
Ty za byle słówko z boku
raczej tyłek w odwet rąb.

Bo ja prawnik znakomity,
aplikuję prawo w tył;
za to, że ja w ciemię bity,
będę innych niżej bił.

Te zalety, proszę panów
ma mój epokowy plan:
będzie kosztem niższych stanów,
tak chce bowiem ku-klux-klan.

Będzie spokój, jak na Bródnie,
gdy porządek kilka lat.
Dudnię Sioda w Sejmu studni —
otom ja — Marquis de Zad.

Stanisław Jerzy Lec

*) Wiersz skonfiskowany w nr. 45 przez starostwo grodzkie. Sąd okręgowy konfiskatę uchylił.

Walka w Meksyku

W londyńskim tygodniku „The New Statesman and Nation" z dnia 4 czerwca ukazał się godny uwagi artykuł „Struggle in Mexico". Dajemy go w przekładzie.

Czy Nowa Hiszpanja stanie się rzeczywiście Hiszpanją? Pewne podobieństwa ujawniają to niebezpieczeństwo. Meksyk jest krajem napół-feudalnym, kapitał zagraniczny zajął w nim mocne pozycje. Posiadając ropę, srebro i inne minerały, jest potencjonalnie bogatym krajem. Jest jednak biedny spowodu zacofanego ustroju społecznego i ekonomicznego. Podobnie jak Hiszpanja, leży na skrzyżowaniu dróg strategicznych, kontrolowanych bacznie przez państwa demokratyczne — Stany Zjednoczone i Wielką Brytanję — pożądanych także przez faszystowski trójkąt: Japonję, Włochy i Niemcy.

Obecny rząd prezydenta Cardenasa wykazuje prawdziwą determinację, wprowadzając reformy socjalne i ekonomiczne, które są nieodzowne dla podniesienia nędznej stopy życia osadników rolnych do poziomu, jaki mogą zapewnić naturalne bogactwa kraju. Problem jest istotnie prosty. Właściwości geograficzne: ubóstwo gleby, pustynne obszary, bagna — muszą być wynagrodzone skarbami, które kryje ziemia: ropą, srebrem i złotem. By bilans gospodarki narodowej został zrównoważony, wydatki na nawodnienie, osuszanie i motoryzację rolnictwa musiałyby być pokrywane z dochodów z eksploatacji minerałów. Jeszcze doniedawna jedynymi właścicielami roli byli nieliczni magnaci feudalni i kościół, lecz jedni i drudzy zadowalali się gospodarką ekstensywną, używając wyłącznie rąk ludzkich, nie wyzyskali natomiast sił przyrody i maszyn, powiększających znacznie wydajność. Bogactwa mineralne Meksyku są kontrolowane przez wielkie koncerny zagranicznych kapitalistów, bardziej interesujących się wysyłaniem zysków swoim dalekim akcjonarjuszom, aniżeli przyczynianiem się do ogólnego rozwoju kraju, z którego skarbów i mieszkańców ciągną te zyski.

Cardenas pierwszą połowę swoich sześcioletnich rządów poświęcił reformie rolnej, która bardziej, niż co innego była hasłem i celem rewolucji 1910 r. Cardenas rozbił wielkie farmy i podzielił je między tych robotników, którzy przedtem na nich pracowali. Była to najzwyklejsza reforma w duchu demokratycznym, mająca zamienić gospodarkę feudalną w kapitalistyczną. Jednak nie udało się. Nieświadomi metod naukowych i nie posiadający koniecznych maszyn, ludzie, którzy stali się drobnymi posiadaczami, nie wyprodukowali nawet tyle, ile musieli wyprodukować w przeszłości na rzecz swych panów. Rezultatem był niebezpieczny wzrost cen żywności, grożący gwałtownym antagonizmem między robotnikami miejskimi i klasami średniemi z jednej, a ludnością wiejską z drugiej strony. Wobec tego Cardenas zaczął zastępować plantacje feudalne farmami spółdzielczemi lub upaństwowionemi. Wydawano fundusze publiczne na finansowanie napół — upaństwowionego rolnictwa i aby ocalić zachwiany kurs pieniądza, inwestowanego w reformy rolne, państwo musiało ułożyć pewien określony program produkcji. Co początkowo było próbami régime'u z liberalnym programem reform, siłą konieczności przeszło potem w politykę socjalistycznego planowania.

Jeszcze później, gdy stało się konieczne zdobycie maszyn i kapitału na długoterminowy kredyt dla planu ulepszenia gospodarki rolnej, rząd musiał nacisnąć koncerny naftowe, których większość posiada kapitał brytyjski. Następstwa są powszechnie znane. Robotnicy zażądali wyższych płac, koncerny odmówiły. Robotnicy ogłosili strajk. Dla rozstrzygnięcia sporu rząd postanowił oddać sprawę pod arbitraż Państwowego Urzędu Pracy. Robotnicy przerwali strajk i Urząd rozpoczął pertraktacje. Koncerny były oporne. Rozwój tych wypadków zajął sporą część ubiegłego roku. Wreszcie w grudniu Urząd Pracy wydał orzeczenie, przyznające słuszność większości żądań robotników. Koncerny odmówiły posłuchu postanowieniom Urzędu Pracy. Specjalnie spreparowanemi bilansami zaczęły udowadniać, że płace w ogólności spadają, że nakazany przez rząd wydatek roczny około 26 miljonów pesów zniszczy ich przedsiębiorstwa. Twierdziły bowiem, że ich dochody w poprzednim roku wynosiły zaledwie 22 miljony pesów i że wymagane od nich świadczenia społeczne będą wynosiły nie 26 lecz 45 miljonów pesów. Rząd odpowiedział, że bilans koncernów daje nieprawdziwy obraz ich rzeczywistego stanu. Sprawa przeszła do Sądu Najwyższego, który potwierdził stanowisko robotników. Koncerny odpowiedziały, że raczej zamkną przedsiębiorstwa, lecz nie ustąpią.

Konstytucja, zrodzona po rewolucji 1910—1917, postanowiła, że wszystkie płody ziemi są własnością państwa i że zagraniczne koncerny w Meksyku, muszą działać jako firmy meksykańskie, muszą też wyrzec się przywileju wzywania pomocy dyplomatycznej i wojskowej swoich rządów, gdyby ich interesy zostały zagrożone. Konstytucja postanowiła także, że koncerny mogą być wywłaszczone za odszkodowaniem, jeśli wymaga tego interes państwa. Na tej najzupełniej legalnej podstawie prezydent Cardenas, po długich i uciążliwych pertraktacjach, powziął ostateczną decyzję wywłaszczenia towarzystw naftowych. Przyrzekł im stosowne odszkodowanie. Towarzystwa usiłowały skryć się za parawan swoich rządów, spodziewając się, że tradycje imperjalistyczne poruszą je do bezwzględnej akcji.

Downing Street (brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych) odpowiedziało notą, w której uznaje konstytucyjne prawo Meksyku do wywłaszczenia w interesie państwowym, pod warunkiem, że zostanie przyznane stosowne odszkodowanie, lecz stwierdza, że nie jest w interesie państwowym Meksyku wywłaszczenie towarzystw naftowych, ponieważ Meksyk nie będzie mógł wyzyskać zasobów ropy tak wydajnie jak towarzystwa. Ponadto niedawne dokumenty Meksyku nie budzą nadziei, że przyrzeczone odszkodowanie zostanie uiszczone. Meksyk odrzucił te argumenty. Wobec tego rząd brytyjski zażądał 20.000 funtów szterlingów jako raty oddawna istniejącego długu za szkody, wyrządzone brytyjskiej własności w meksykańskiej rewolucji dwadzieścia lat temu. Rząd brytyjski ponowił protest przeciw wywłaszczeniu, uznając za właściwe rzucić światło na pewne okoliczności, które jakoby wskazują, że Meksyk cieszy się brakiem zaufania zarówno wewnątrz kraju, jak i zagranicą. Meksyk zapłacił co do grosza, lecz zerwał stosunki dyplomatyczne i zwrócił uwagę, że opinja o niektórych wielkich mocarstwach po drugiej stronie Atlantyku, traktujących siebie jako dobrych płatników, nie jest lepsza od tej, jaką Brytanja przypisała Meksykowi. Poseł brytyjski opuścił miasto Meksyk i obecnie poseł Danji dogląda tam spraw brytyjskich. W ten sposób wszystko stanęło na martwym punkcie. Tymczasem jednak towarzystwa naftowe spróbowały zorganizować bojkot nafty meksykańskiej na rynku światowym, usiłując napiętnować chętnych klientów jako paserów skradzionej własności, łamiących ponadto solidarność międzynarodowego kapitału.

Prezydent Cardenas w mowie do swego narodu powiedział, że towarzystwa otrzymają odszkodowanie za utratę dochodów ze sprzedaży ropy. Powiedział także, że w tej epoce grożącego konfliktu między krajami demokratycznemi świata a blokiem faszystowskim będzie uważał za swój obowiązek oddać naftę meksykańską do dyspozycji tych narodów, którym groziłaby agresja faszystowska. To było dla Anglji jasną wskazówką, żeby nie pozwoliła swemu rządowi utożsamiać sprawę koncernów ze sprawą narodu i spowodować, by Meksyk nie musiał dostarczać nafty innym krajom.

Pewne kraje paliły się poprostu, żeby sytuację Meksyku wyzyskać na własną korzyść. Już od pewnego czasu blok faszystowski patrzył na Meksyk pożądliwem okiem. Japonja oblegała Cardenasa, kusząc propozycjami prawa połowu ryb i „eksperymentalnemi plantacjami bawełny" — podmorskie i powietrzne bazy w określonej odległości od Kalifornji i Texasu miały być innym sposobem wymuszenia. Włochy czynnie wspierają meksykańskie grupy faszystowskie (katolicy i ziemianie, niezadowoleni z polityki przeciwkościelnej i przeciwfeudalnej, wsparci przez klasy średnie (mieszczaństwo), są elementem opornym, nienawidzącym wzrastających cen produktów żywnościowych i obawiającym się socjalistycznych tendencyj rządu). Niemcy, przez agenta pewnego niemieckiego domu bankowego, ofiarowały się brać naftę meksykańską wzamian za maszyny, broń i eksportów. Wszystkie trzy kraje faszystowskie subsydjują dzienniki i organizacje przeciwrządowe.

Nagle, kilka tygodni temu, nadeszła wiadomość o wybuchu rebelji w stanie San Luis Potosi, twierdzy znanego reakcyjnego generała Saturnino Cedillo. Cedillo był jedną z kierowniczych postaci w czasie rewolucji, lecz zerwał z Cardenasem, który, w przeciwieństwie do większości meksykańskich wodzów rewolucyjnych, usiłował zwalczyć nędzę Meksyku i doszedł do tego, co dla licznych jego dawniejszych kolegów jest niebezpiecznym radykalizmem. Cedillo był najpoważniejszym przeciwnikiem Cardenasa, ponieważ w ostatnich dwóch latach niemieccy doradcy wojskowi, którzy przybyli do Meksyku — jak przybyli do Chin i republik Południowej Afryki — zaczęli jednoczyć się z grupami, zwalczającemi Cardenasa, i tworzyć sztab wokół Cedilla. Berlin wydajnie im pomagał, a gdy wybuchła rewolta, stali się czynnymi doradcami i zausznikami meksykańskiego Franca.

Klucz do Meksyku znajduje się w Waszyngtonie. Jak długo prezydent Roosevelt strzeże, by broń nie dostawała się do Meksyku, trudno będzie faszystom zwyciężyć. Taka jest zresztą nauka przeszłości, kiedy to każda meksykańska rewolucja upieczona przez Stany Zjednoczone miała powodzenie, inne zaś nie udawały się. Jeśliby nadto rebeljantom poszczęściło się zdobyć kontrolę portu i większą ilość broni z profaszystowskiej Guatemali, sytuacja byłaby znacznie trudniejsza. W każdym razie, jak długo Wielka Brytanja objawia wierność zasadom imperjalizmu, skłonna będzie pomagać Cardenasowi. Nafta meksykańska może być bardzo pożyteczna w razie wojny, gdyby droga śródziemnomorska do pól naftowych na Bliskim Wschodzie była zagrożona. Należy się spodziewać, że angielski kapitalizm nie będzie miał ochoty popierać rebelję faszystowską za cenę utrwalenia wpływów niemieckich, włoskich i japońskich. Właśnie z punktu widzenia rządu konserwatywnego (posiadającego bodaj szczyptę zdrowego rozsądku) solidarność z Waszyngtonem w walce z zalewem faszystowskim na zachodniej półkuli powinna być jedyną, zasługującą na przyjęcie polityką.

ZAJĄCZEK

(bajeczka dla megalomanów)

Raz w leśnem ustroniu zajączek mały,
bezpiecznie się czując, jął rozważania snuć śmiałe:
My, zające, jednak cierpimy na kompleks niższości,
zbyt często pomiatamy swoją własną godnością —
zrozumieć nie mogę, czemu krewni moi
choćby psa naprzykład tak bardzo się boją?
Owszem, bezwątpienia, przewyższa nas wzrostem,
lecz stąd tylko płynie wniosek taki prosty,
że ciężar ciała odbiera mu zwinność...
Trzeźwo pomyśleć, a zникną przewagi i inne:
proszę, podobnie jak on i my oczy mamy,
zęby, sierść, uszy i łapy jak on tak samo —
no, i czem właściwie pies od nas się różni?!
Zajączek — coraz dalej brnąc w próżność —
nie spostrzegł psa w swojem cichem ustroniu:
na ucieczkę zapóźno, daremnie zaś było się bronić...
W pysku wroga krwawiąc, niby w ostrych nożycach,
jęknął: Nie, także są i pewne różnice...

Jan Huszcza

NOWOŚCI POETYCKIE

Bogdan Grzymała-Kamodziński. Wieczność świecąca. Warszawa, F. Hoesick, str. 44 i 4 nl.

Tom debjutowy Bogdana Grzymały-Kamodzińskiego świadczy o pewnych zdolnościach i łatwości wersyfikacyjnej autora. Jest to zbiór krajobrazów lirycznych i łatwych liryków, pod wyraźnemi auspicjami Tuwima. Tom zresztą jest charakterystyczny, jeżeli chodzi o poprawny poziom poetyckiej szkoły formalnej w Polsce i o inflację krajobrazów. Krajobraz, jeżeli jest celem samym dla siebie, powinien być celowo rozplanowaną, jak to widzimy w krajobrazach Przybosia, kompozycją. W innym wypadku motywy krajobrazowe bywają użyte jako środki pomocnicze w celu uwidocznienia pewnych stanów psychicznych, przeżywanych w tym czasie przez poetę. Synteza częściowa jednak tych dwóch rodzajów, jak u Kamodzińskiego, dała w wyniku rozpływającą się całość o powierzchownym i nie zawsze uzasadnionym kolorycie. Razi w tym tomie werbalizm, słowa płyną zbyt łatwo konwencjonalnem łożyskiem strofy. Niema niczego, coby słusznie warunkowało rozłożenie koncepcji poetyckiej. Autor daje się unieść własnemu potokowi słów. Ogromna ilość przymiotników, spotykana w tych wierszach, nie ma często znaczenia poetyckiego atrybutu określającego, ale jest wypełnieniem luki w toku sylabicznym wiersza. Na dobro autora należy przypisać parę śmiałych koncepcyj fantazjotwórczych (n. p. w wierszu „Morska noc"). jednak wyraźne wpływy formalne Skamandrytów i niewolnicze trzymanie się konwencjonalnego, zgóry narzuconego sobie schematu, uniemożliwiły rozrośnięcie się owej koncepcji w nienaganną, klarowną całość.

Trudno na podstawie tego tomu mówić o obliczu lirycznem autora. Może czas przyszły przyniesie tom mniej bezkrytyczny, o większej selekcji i o bardziej skrystalizowanem obliczu twórczem.

Stanisław Piętak. Obłoki wiosenne. Warszawa, F. Hoesick, 1938; str. 40.

Na nowy tom Stanisława Piętaka składają się poematy liryczne, drukowane przeważnie w „Okolicy Poetów", oraz znany już poemat „Ziemia odpływa na zachód", przerobiony jednak i zmieniony częściowo. Twórczość Piętaka, wychowanego w szkole awangardy krakowskiej, czego dowodem jest charakterystyczny tom „Alfabet oczu", jest o poetyki awangardowej, stwarzając własny i tyle ciekawym fenomenem, że poeta, świadomie czy nieświadomie, zdeformował kanony oryginalny styl poetycki. W toku epickim Piętaka zadziwia rozplanowanie momentów dynamicznych, dialogów i fraz opisowych. Widać splatanie się substancyj epickich i lirycznych, a co najciekawsze, kardynalny fundament poetyki awangardowej — metafora, jest tutaj zupełnie swoiście pojęta. Metafora nie jest u Piętaka zasadniczym elementem budowy wiersza, jest tylko ważnym środkiem pomocniczym, tworem organicznym, zrośniętym, rzec można, z bogatą naturą liryczną poety. Opisowość Piętaka jest jednocześnie chłonnością i natychmiastowem uzewnętrznieniem doznań, połączonem z trwającem w tym samym czasie zapatrzeniem lirycznem. Momenty narracyjne, jak to słusznie podkreślił Jarosław Iwaszkiewicz, mają w swojej materji coś z opowieści pastuszych. Ta sielskość jednak i łagodna liryka kryje w sobie duże wartości potencjalne, jeżeli chodzi o stronę dynamiczną odniesienia poetyckiego i potrafi w odpowiednim momencie przetopić się w patetyczny niemal zryw. Ten zryw patetyczny i aura opowieści poetyckich Piętaka przypominają miejscami (n. p. poemat „Zdrada") heroizm romantycznych opowieści angielskich. Ciekawy jest również moment ruchu w poematach Piętaka. Ruch ów przypomina przez swoją jednoczesność wewnętrznego procesu twórczego i jego uzewnętrznienia — zwolnione nieco zdjęcie filmowe. Ta uwaga nasuwa się przy czytaniu końcowego opisu poematu „Ziemia odpływa na zachód", zaczerpniętego z przeżyć wojennych. Wrażenie owo potęgują przerwy wewnętrzne w skandowanym oddechu poetyckim, zmierzającym do momentu kulminacyjnego. Jedynym zarzutem, który da się Piętakowi postawić, jest częste przekraczanie granicy afektacji lirycznej.

„Obłoki wiosenne" świadczą o rozwoju talentu poetyckiego Piętaka. Oddech ziemi, świeżość opisów natury świadczą o intensywnem przeżywaniu i przyswojeniu sobie krajobrazu sielskiego, podanego z rzadko spotykaną siłą. Jedynym bodajże poetą u nas, którego opisy mają równą świeżość i autentyczny posmak przeżyć poety chłopskiego, jest chyba Czuchnowski. „Obłoki wiosenne" są jedną z czołowych pozycyj poetyckich w bieżącym roku wydawniczym.

Jerzy Kamil Weintraub

* * *

W poprzednim (46) numerze „Sygnałów" z dnia 1 czerwca: **Stefan Wodwicz:** „Idea słowiańska generała Żeligowskiego". — **Hipolit Grynwaser:** O naukową metodę w historjografji. — **André Gide:** Céline i Żydzi. — **Wanda Wasilewska:** Bajka. — **Andrzej Drozd:** Ofensywa katolicyzmu. — **Zygmunt Jarosz:** Marx po polsku. — **Andrzej Nowicki:** O czterech przechodniach. — **Jerzy Kamil Weintraub:** Nowości poetyckie. — **Karol Kuryluk:** Wspomnienia Benesza. — **Jan Śpiewak:** Misterjum nieromantyczne. — **Lech Piwowar:** Wiersze z Dąbrowy Górniczej. — **S. L. C.:** Wystawa ku czci Struga. — W oczach Zachodu. — Korespondencja (**Andrzej Ruszkiewicz, Jerzy Borcisza, Aura Wyleżyńska**). — Przegląd prasy. — **Leonid Fokszański:** Popieraj turystykę. — **Franciszek Parecki:** Nike republikańska (rys.). — 8 stron. 8 ilustracyj.

Trzeci Testament

1

Dymitra Mereżkowskiego można by nazwać mistykiem, gdyby pojęciem mistycyzmu dało się ogarnąć całkowicie te przeżycia, poszukiwania i stany religijne, które są właściwością duszy rosyjskiej, a na których określenie język rosyjski ma swój wyraz — **bogoiskatielstwo,** często fałszywie rozumiany, deprecjonowany i lekceważony. Medytacja i kontemplacja, przechodzące stopniowo w stan ekstatyczny — te są najważniejsze elementy mistycyzmu; doprowadzają one wkońcu do uwolnienia się człowieka od wszystkiego, co „ziemskie", kierując go do jednego tylko celu, którym jest Absolut. Bogoiskatielstwo ma inny charakter — właśnie „ziemski": ono szuka Boga na ziemi. W swem olbrzymiem dwutomowem studjum o Tołstoju i Dostojewskim, jako ludziach, artystach i myślicielach religijnych, Mereżkowski w pewnem miejscu, komentując scenę z „Braci Karamazowych", gdy Aliosza, łkając, całuje ziemię (Macierz-Ziemię), powiada: „Oto najgłębsze objawienie chrześcijaństwa w kulturze rosyjskiej, a być może — we wszechświatowej. Dotychczas wydawało się nam, że być chrześcijaninem — to znaczy kochać niebo, tylko niebo, wyrzekając się ziemi, nienawidząc ziemi. Lecz oto inne chrześcijaństwo — nie jako wyrzeczenie się ziemi i sprzeniewierzenie się jej, lecz jako nowa, niebywała dotąd **wierność ziemi**, nowa miłość do ziemi, nowe **całowanie ziemi.** Okazuje się, że nie tylko można kochać niebo i ziemię razem, ale że inaczej niż razem kochać ich nie można; i według nauki Chrystusa nie wolno ich kochać osobno". I dalej wykłada Mereżkowski, że dopóki ziemia nie stanie się **niebiańską** — będzie wciąż starą, pogańską ziemią; dopóki niebo nie stanie się **ziemskiem**, będzie ono wciąż starem, niechrześcijańskiem niebem, i tylko wydawać się będzie „chrześcijańskiem". Lecz narodzi się „nowa ziemia i nowe niebo": albowiem — bądź wola Twoja jako na ziemi, tak i na niebie. Ja i Ojciec — to jedno, rzekł Chrystus, i słowa te są solą nauki chrystusowej, są nie tylko wodą, lecz **ogniem** chrztu. W dążeniu do nowej ziemi i do nowego nieba zamyka się, rzec można, bogoiskatielstwo.

Mereżkowskiego można by nazwać także mesjanistą, gdyby pojęcia mesjanizmu nie było zbanalizowane i zacieśniane do zbyt narodowo rozumianych tendencyj, ambicyj i dążności. Mereżkowski jest, ściśle mówiąc, uczniem i wyznawcą Dostojewskiego. Dostojewski dowodził, że przeznaczeniem dziejowem Rosji jest pogodzić wielkie przeciwieństwa, wielkie sprzeczności europejskie — sprzeczności **wszechświatowe.** Cóż to za przeciwieństwa? Dostojewski określił je w słowach następujących: „Odbywa się starcie dwóch najbardziej przeciwnych sobie idej, jakie kiedykolwiek istniały na ziemi: spotkał się Człowiek-Bóg i Bóg-Człowiek". Jak wiadomo, Dostojewski nie znał Nietzschego, natomiast Nietzsche uległ wpływom Dostojewskiego: otóż Mereżkowski rozpoznał Człowieka-Boga w Nadczłowieku. Dziś nietzscheanizm odżywa w narodowym socjalizmie, Człowiek-Bóg tryumfuje wogóle we wszelkich systemach „totalnych". Człowiek-Bóg („Cziełowieko-bog") dla Dostojewskiego, a przedewszystkiem dla Mereżkowskiego utożsamia się z Antychrystem; Bóg-Człowiek („Bogo-cziełowiek") — to Chrystus: nowe niebo i nowa ziemia. Przeznaczeniem Rosji jest pojednać przeciwieństwa, sprowadzić na ziemię Chrystusa, zwyciężyć Antychrysta. Takie miało być posłannictwo Rosji **idącej** („griaduszczaja Rossija"), którą prorokował i antycypował Dostojewski, w którą wierzył Mereżkowski. Tymczasem Rosja idąca przeraziła świat nieoglądaną dotąd w dziejach rewolucją: w łonie samej Rosji dokonywa się walka Antychrysta z Chrystusem — znana jej zresztą już od czasów Piotra Wielkiego. Kto zwycięży? Na to pytanie nie będziemy odpowiadali. Natomiast spróbujmy w kilku zdaniach streścić naukę Mereżkowskiego o Trzecim Najnowszym Testamencie. Chrystus współczesnego chrześcijaństwa stał się wyłącznie „duchem", który nie ma „ciała i krwi". Duch „wstąpił w niebo", w dziedzinę abstrakcyjnych idej, a na ziemi pozostał grób z martwemi kośćmi Człowieka, który zmarł i nie zmartwychwstał. Ale to być nie może. Musi się wypełnić obietnica Pańska, że wrota piekielne nie przemogą Jego kościoła, który jest przecie Jego ciałem. Albo ostatecznym celem świata będzie niebyt i nirwana, albo Chrystus zmartwychwstanie. Albo świat cały jest szaleństwem, przekleństwem i chaosem, a człowiek ofiarą tego szaleństwa — albo Chrystus zaprawdę zmartwychwstanie. Zmartwychwstanie musi nastąpić — w Trzecim Testamencie, który będzie królestwem Ducha Świętego czyli nieodwołalną syntezą Ciała i Ducha, panowaniem Świętej Cielesności (Swiataja Płot') czyli Błogosławieństwem. Chrystus więc jest dla Mereżkowskiego istotą zupełnie realną, najbardziej żywą; uświęcenie zaś Cielesności — najbardziej realnym celem, do którego zmierza ludzkość.

2

Tak się przedstawia „mistyka" i „mesjanizm" Mereżkowskiego w jego dawniejszych pismach o Tołstoju i Dostojewskim, i w książce, p. t. „Nie pokój, lecz miecz", zawierającej rozprawy historjozoficzne o „przyszłem chrześcijaństwie". Obecnie ukazuje się w przekładzie polskim jego nowe, wielkie dzieło o Chrystusie. Wyszły właśnie dwa tomy.*) Zapowiedziany jest trzeci i ostatni. Dzieło to powstało w r. 1932, na emigracji, w czasach, gdy „mistycyzm" pisarza oderwanego od ojczyzny, wzmaga się coraz bardziej. Ale w istocie nie przynosi ono żadnych nowych myśli, światopogląd bowiem („mirosoziercanje" — jakby powiedział Rosjanin) Mereżkowskiego oddawna jest ustalony i niewzruszony. Potęguje się tylko melancholja, smutek, tęsknota i miłość. „Jezus" Mereżkowskiego — to swego rodzaju egzegeza ewangelji i glosatorstwo na marginesie jej tekstów. Zdumiewa niezmierna erudycja autora, jego oczytanie w religjonistyce wogóle, a w tem, co dotyczy Chrystusa — w szczególności. Jednakże bezpośredniem i najbardziej rozstrzygającem źródłem pozostaje dla Mereżkowskiego ewangelja — Nowy Testament. Na wstępie znajdujemy taką apostrofę do tej malutkiej, w czarnej, skórzanej okładce, książeczki, z którą Mereżkowski nie rozstaje się od roku 1902: „Napis na okładce zatarł się tak, że ledwie go można odczytać; złocenia brzegów pociemniały, papier zżółkł, skóra okładki zbutwiała, grzbiet odpada, kartki rozsypują się, po brzegach wytarte, a po rogach zwinięte w rurki. Trzebaby ją nanowo oprawić, ale szkoda, a prawdę mówiąc, nawet strach choćby na kilka dni rozstać się z książeczką... Czytam ją codzień i czytać będę, póki oczy widzą, przy wszelkiem, od słońca czy serca biegnącem świetle, w najjaśniejsze dni i w najciemniejsze noce, szczęśliwy czy nieszczęsny, chory czy zdrów, czujący czy nieczuły. I wydaje mi się, że wciąż czytam coś nowego, nieznanego, że nigdy nie przeczytam jej, nie poznam do głębi. Tylko rąbkiem oka widzę, rąbkiem serca czuję. A gdyby tak zupełnie — co wtedy?".

Wystarczy tej apostrofy, pokornej i wielbiącej, aby pojąć, z jakiem uczuciem i w jakim stanie ducha pisany jest „Jezus", i czego może się czytelnik po tej książce spodziewać. Interpretacja jej i krytyka pomniejszyłaby ją tylko. Czytając tę książkę, pamiętać należy o słowach Platona, św. Mateusza, Klemensa Aleksandryjskiego i Pascala, słowach, które we wstępnym rozdziale przytacza Mereżkowski. Mówią oni wszyscy o tem, że „wszelkiej wiedzy początkiem jest **podziw".** Z uczuciem podziwu i zadziwienia czytać trzeba pełną wiedzy książkę Mereżkowskiego, a przedewszystkiem z takiem uczuciem czytać trzeba Nowy Testament, podobnie jak czyta go Mereżkowski. Jeśli tych uczuć nie zaznajemy, nie powinniśmy dyskutować o książce Mereżkowskiego. Możemy natomiast w dzisiejszych czasach przewagi Człowieka-Boga snuć podczas czytania Mereżkowskiego różne na ten temat rozmyślania.

3

Niesposób na tem miejscu zestawiać Mereżkowskiego z różnymi autorami książek o Chrystusie, ani też analizować krytycznie i porównawczo jego poglądów historjozoficznych. Zaznaczmy tylko jeden szczegół. „Uświęcona Cielesność" może się wydać komuś sekciarstwem — „złowierstwem", jakbyśmy powiedzieli po staropolsku, jakiemś wynaturzeniem niemal, niebezpiecznem i deprawującem. A jednak nasz Krasiński stał na tem samem mniej więcej stanowisku, gdy twierdził, że „płciowość jest prawem powszechnem, prawem jednem i wszechobecnem tak w naturze, jak w duchu".

4

Książka Mereżkowskiego budzi smutną refleksję, dotycząca naszej literatury chrystologicznej. Wielu pisarzy europejskich i rosyjskich poświęcało się takim czy innym badaniom nad Chrystusem. My — naród arcykatolicki podobno — mamy właściwie jedno tylko z tej dziedziny dzieło: „Boga Jezusa" Niemojewskiego, sceptyczne, racjonalistyczne i, mimo pozory naukowości, niegłębokie. Rzecz znamienna, że Mereżkowski, uwzględniając ogromną literaturę w różnych językach, ani razu nie zacytował Niemojewskiego.

Jerzy Wyszomirski

*) **I. Jezus Nieznany** (str. 384), **II. Jezus Objawiony** (str. 304). Przełożył **Jan Horzelski,** Warszawa, 1937 i 1938, „Płomień".

WSPOMNIENIA BYŁEGO KSIĘDZA

Nieduża, żywo napisana, pulsująca prawdziwością, szczera w założeniu i odważna we wnioskach, książeczka młodego, byłego księdza Stefana Matuszewskiego, obecnie współpracownika „Chłopskiej Prawdy", organu rolnego P. P. S. — obejmuje kilkuletni okres studjów i życia księżowskiego.*) Jest cenna, gdyż odsłania ciężkie koleje chłopskiego syna, dążącego uparcie do zdobycia wykształcenia, nauki i wiedzy. Droga do nędzy wiejskiej na lichem gospodarstwie, przez szkolne dramaty i biedę studencką do zdobycia księżowskiego kapelusza i od ołtarza i plebanji do partji socjalistycznej, jest tak ciekawa, że godna jest wspomnień.

Na trzydziestomorgowej gospodarce w Giżynie, w powiecie mławskim, urodził się autor wspomnień w r. 1905, jako ósme skolei dziecko. „Jak przez sen przychodzi mi pamięć izby, gdzie matka leżała w trumnie, a myśmy wszyscy płakali. Zdaje się, że był to dzień wyprowadzki na cmentarz". Takich skrótów o wielkiej sile wyrazu znajdujemy u Matuszewskiego sporo. Pierwsze początki nauki otrzymuje u młynarza. Położenie ekonomiczne tego dziecka było takie same jak innych chłopskich dzieci. Ubrania, buty, bielizna po starszych braciach, aż do zdarcia.

Wybuchła wojna światowa. Rosjanie i Niemcy. Front na wsi, rowy, okopy, zniszczenie. Ojciec oddaje go do ochronki, w której przebywa do piętnastego roku życia i chodzi do gimnazjum. Wojna w r. 1920. Nowe zniszczenie chłopskiego dobytku. W r. 1921 gimnazjum w Płocku. Brak środków sprawia, że trzeba przerwać studja i iść na posadę nauczycielską. Trzeba uczyć innych, choć chciałoby się uczyć samemu. Po krótkiej pracy nauczycielskiej ponowne marzenia o gimnazjum. Pobyt w Warszawie. Akademickie Kursy Maturalne; zarobki na życie w charakterze subjekta w sklepie, potem urzędnika z głodową płacą. Wreszcie po wyczerpaniu wszystkich możliwości zgłoszenie się w seminarjum duchownem w Warszawie. Styczeń 1924 r.

„Mały człowieczek z wyłupiastemi oczyma otworzył furtę" — tak się zaczyna karjera księżowska. W prostym opisie mamy zwięzły obraz życia w internacie i seminarjum duchownem. Jedzenie, modlitwy, spanie, jedzenie, modlitwy. Żywoty świętych, czytane w jadalni z ambonki i „olbrzymie pajdy kiełbasy, masła, smalcu, bułek" i ci klerycy, którzy „niewiele zważali na czytającego z ambonki i szczękali łyżkami po talerzach". Modlitwa na ustach, obłuda w sercu; miłość na wargach, ale szpiegowanie, donosicielstwo i lizusostwo w praktyce. Synowie chłopów i biedoty małomiasteczkowej już w tych murach seminarjalnych uczą się robić pieniądze, urządzać życie wygodnie, bez wstrząsów i niespodzianek. Sprzyja temu jednostronny charakter studjów, wyrabiający oportunizm, ugodowość, fałszywą pokorę i zewnętrzną pobożność.

W tym świecie ślepej i nietolerancyjnej doktryny bardzo łatwo się zgubić, popaść w podejrzenia, które mogą złamać człowiekowi życie. Nieznajomość wielu niezrozumiałych i nieco „żenujących" kwestyj, może uchodzić za bunt i herezję, gdy w istocie jest tylko nieznajomością. Tego pecha miał autor przy egzaminie z religji i z tego wyrosła potem jego sprawa porzucenia stanu księżowskiego. Ale upór i chłopska zawziętość dokonały tego, że przedarł się przez studja seminaryjne w r. 1928. To był pierwszy etap.

Cięższy był etap uniwersytecki na wydziale teologicznym uniwersytetu warszawskiego. Tu posądzenia o herezję nie tylko wzrosły, ale stały się przyczyną kryzysu psychicznego autora, a potem jego odrodzenia się. Tu pieczę nad księżmi sprawuje wszechwładna kurja ze swym szeroko rozwiniętym aparatem wywiadowczym.

„Poznałem śmietankę akademicką, a szczególniej tę, która kierowała organizacjami o charakterze katolickim. Przerażony byłem „katolickością" tej młodzieży. Zdejmowała nakrycia głowy przed kościołami i figurami, chodziła ze sztandarami na nabożeństwa, gremjalnie uczęszczała na rekolekcje, do spowiedzi i komunji św., ale kiedy zaczęto rozmawiać o wierze i religji, słyszałem niespodziewane rzeczy. Gdyby z podręcznikiem teologji, ba nawet prostej katechizmówki, stawiać im pytania, nie uwierzyliby, że są to zasady nauki katolickiej, albo zaznaczyliby, że ich to nic a nic nie interesuje". Taki sąd wydaje o katolicyzmie tej „śmietanki" spośród młodzieży „narodowej" ksiądz, który stykał się z nią oko w oko, a nie na paradach korporanckich.

Życie w konwikcie podczas studjów uniwersyteckich płynęło niebezpiecznem dla wolnego człowieka korytem, wyścielonem zasadzkami i pełnem sideł. Obok „koła teologicznego" działał zakonspirowany „klub liberałów", czyli t. zw. księży postępowych. Ale ani jeden, ani drugi praktycznie nie był postępowy. W tym czasie nachodzą autora bardzo poważne wątpliwości religijne. Po uzyskaniu magisterjatu z nauk biblijnych, przebywa kolejno jako wikary przy różnych kościołach. Trapią go znów rozmaite wątpliwości i znów przychodzi ciężki kryzys religijny. Dręczącą troskę chce zabić i zagłuszyć studjami. Pragnie wyjechać zagranicę. Wkroczyła jednak władza duchowna i Matuszewski staje przed kardynałem. To był początek końca. Po rozmowie z kardynałem Kakowskim, który oświadczył, że „sam jest kardynałem, a we wszystko wierzy", oko władzy duchownej spoczęło na młodym, szarpanym wątpliwościami księdzu, bardzo troskliwie i czujnie.

Na swój koszt jedzie młody teolog na studja do Paryża. Po rocznym pobycie musi wracać do kraju, bo tego sobie życzy władza duchowna. Wrócił i zostaje odesłany na zapadłą parafję, jako wikary, on, który chciał robić... doktorat. Na tej parafji w Kamieńczyku bierze się energicznie do pracy. Zakłada koła „Akcji Katolickiej" i po roku wytężającej pracy dochodzi do przekonania, że „nasza (t. j. Akcji Katolickiej) praca społeczna, organizacyjna, jest przelewaniem z pustego w próżne, pętaniem pcheł. Poza pewnem wyrobieniem organizacyjnem i oświatowem — nic młodzieży nie dawała".

Z Kamieńczyka przeniesiono młodego magistra nauk biblijnych do Skierniewic. Tu się zetknął młody ksiądz z „potęgą ruchu narodowego" i przegrał walkę. Endecy chcieli rządzić księżmi i używać ich jako narzędzi do swych machinacyj; Matuszewski się temu oparł i po trzech latach pobytu opuścił Skierniewice „na własną prośbę". Zostaje wikarym w Warszawie. W tym czasie „podkusiło" go i wyjechał z wycieczką „Orbisu" do Łotwy, Estonji, Finlandji i Z. S. R. R. Po powrocie z Z. S. R. R. „spodziewano się widocznie odpowiedzi, że tam jest ludożerstwo, ruina, zniszczenie, publiczna demoralizacja, rozpacz... Niczego takiego jednak oczywiście nie widziałem, niczyjej chorobliwej ciekawości nie mogłem zaspokoić, a wtedy zrodziło się podejrzenie olbrzymie, że... pokumałem się z komunistami". Za tę wycieczkę odesłano księdza na pokutę do Skrzeszew na trzydniowe rekolekcje. Po powrocie ze Skrzeszew objął autor obowiązki kapelana Sióstr Felicjanek w Wawrze i prefekta szkół w Rembertowie. Po roku donosy urosły w wielką górę i kurja metropolitalna odebrała księdzu juryzdykcję do spowiadania i głoszenia „Słowa Bożego" i poleciła nowe „zesłanie" do Skrzeszew.

*) **Stefan Matuszewski. Moje wspomnienia.** Warszawa, Spółdzielnia Wydawnicza „Światło", 1938, str. 90 i 2 nl.

Skonfiskowano

Marjan Czuchnowski

IGNACY FIK

LITANJA

Nadstawiałem gardło golarzom z Hamburga, z Rzymu, z Pragi,
najczulszą swą skórę — nieznanym rzemieślnikom,
pod grube palce obcych — miejsce, gdzie życie najłatwiej przeciąć.

W lustrach twarz stojącego z nożem — nie przeraża.
Ich tryumf: ostrzem nigdy krwi kropli nie zranić!

Tak wygląda profil heroizmu człowieka: opanowanej odwagi —
braterstwo dłoni pracującej i zaufania.

A ty marzysz:
(zwierzęcej krwi podmula cię brunatny wieczór)
— ocali noc długich noży —

O jakżeś daleki od zwycięstwa!

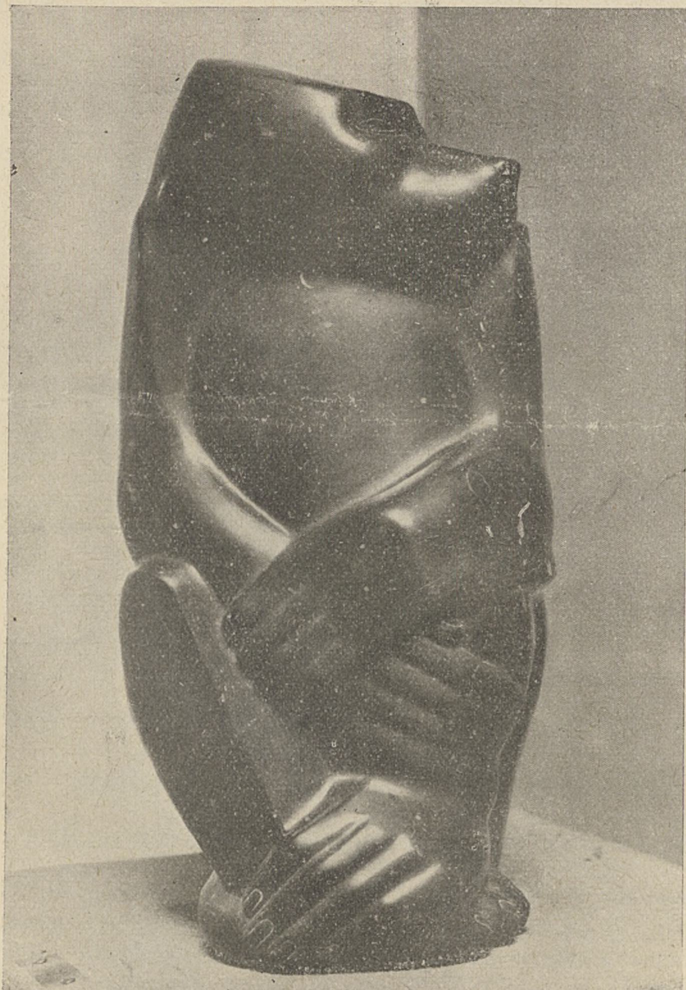
Święci fryzjerzy, módlcie się za nim!



Ksawery Dunikowski: Głowa wawelska (gips)



Jacek Puget: „Raffi" (brąz)



Józef Klukowski: Pawjan (bazalt)

LISTY BRZOZOWSKIEGO

Przeglądając tylko pobieżnie puściznę literacką St. Brzozowskiego, dziwimy się, kiedy ten człowiek, który umarł w 33-cim roku życia i któremu lwią część tego krótkiego życia pochłaniają ciągłe choroby — zdążył tak dużo napisać. Stałe kłopoty rodzinne, upokarzająca wprost nędza materjalna i wyrządzone mu krzywdy moralne — nie stanowiły bynajmniej atmosfery, sprzyjającej tak wytężonej i owocnej pracy.

Oprócz dzieł znanych, ogłoszonych drukiem, pozostało po Brzozowskim dużo rękopisów, dotychczas nieopublikowanych, między któremi znaczną część stanowią listy do przyjaciół.

Umieszczone tu listy są wyjęte ze zbiorów bibljoteki „Ossolineum", gdzie zostały złożone przez adresatów: Wulę i Rafała Buberów oraz Salomeę Perlmutter. Listów tych jest razem 221, w czem 184 (stron 606) do Buberów i 37 (str. 132) do S. Perlmutter. Pisane były w latach 1905—1911, t. j. w okresie pobytu Brzozowskiego we Włoszech, dokąd za namową i przy usilnej pomocy materjalnej lwowskich przyjaciół wyjechał na kurację.

Pierwszy list datowany jest w grudniu 1905 r., ostatni 19. IV 1911 r., czyli na kilka dni przed śmiercią (zmarł 30. IV 1911).

Trudno jest dokładnie opisać zewnętrzną stronę tej masy listów. Dużo jest kart czystych i z widokami, dokładnie zapisanych we wszystkie strony maczkiem (nie wyłączając rysunków), tak, że niemożliwe jest nieraz ustalić kolejność zdań. Brzozowski nie zawsze mógł sobie pozwolić na normalny papier listowy i dlatego często pisał na papierze o odmiennem przeznaczeniu, n. p. z przygodnemi pośrodku naddrukami nieznanych firm.

Nerwowe i zmienne pismo Brzozowskiego jest w wielu miejscach nieczytelne. Wśród niezróżnicowanych i niekropkowanych, drobnych znaków z trudem przychodzi wiązanie sylab w wyrazy i zdania; znaczną pomocą są powiększające szkła i domyślanie się.

Wyrazy nieodczytane są wykropkowane, wątpliwe zaś w swej treści i dopisane ujęto w nawiasy.

Jeszcze krótka informacja o adresatach. Rafał Buber (1866—1931), dr. praw, adwokat i członek partji socjalistycznej we Lwowie, był oddanym przyjacielem Brzozowskiego. Finansował w znacznej mierze pobyt Brzozowskiego zagranicą, a w czasie słynnego procesu o szpiegostwo był wraz z J. Moraczewskim mężem zaufania i gorliwym obrońcą Brzozowskiego. Wula — żona Bubera.

Salomea Perlmutter-Trawiecka — znana publicystka i działaczka socjalistyczna, przyjaciółka Buberów i Brzozowskiego. Przyczyniła się w dużej mierze wespół z Buberami do wyjazdu Brzozowskiego na kurację do Włoch.

Leon Wudzki

DO S. PERLMUTTER

(połowa 1907 r.)

Kochana Towarzyszko!

Dzisiaj dopiero piszę do Was. Humoru brak ciągle. Wybory*) galicyjskie raz jeszcze ujawniły, czym jest Polska. Iżby nie zdobył się nikt z pisarzów pozapartyjnych na jedno silne ludzkie słowo. Nie ma stanu bardziej pożałowania, właściwie lekceważenia godnego, niż obecnie literacki w Polsce. W tych dniach wysłałem do Przeglądu Społecznego rzecz o Poznaniu, którą pozwoliłem sobie Wam przypisać. Pracuję nad różnymi rzeczami, których czuję głęboką niewspółmierność ze wszystkim, co interesuje t. zw. myśl polską. Nie powinienem pisać listów, gdyż gdy raz zacznę, wpadam w wyrzekanie. Czytam teraz Machiavella. Zrazu wprawiałem się w nim przez leniwą ciekawość, teraz zajął mnie. I myślę, że za miesięcy 3 będę miał o nim rzecz, która może istotnie w Neue Zeit**) byłaby na miejscu.

Jeżeli był kiedy człowiek, pojmujący dzieje materyalistycznie, to był nim Machiavelli. Dostanę o nim niedługo duże 3 tomowe dzieło i trochę materyału o historyi Florencyi. Być może będę próbował — rzecz b. łatwa — ale właśnie dlatego trudna — bo prosta w wielkich liniach — napisać szkic materyalistyczny o — horribile dictu Daubem. Jest to jednak jeden z tych przykładów, co do których, gdyby materyalizm dziejowy nie istniał, możnaby go na nich specjalnie odkryć. Sądzę, że dr. Hilferding jest niekonsekwentny w danym wypadku, rozróżniając Socialwissenschaft z filozofią. Gdyż, jeżeli nie jest stwierdzone, że wszystkie nasze kategorye poznawcze są zawsze tylko próbami ujęcia położenia, stworzonego przez społeczno ekonomiczny proces, jeżeli tylko uznaje się jakikolwiek moralny pożytek dla poznania, które byłoby nicht social und nicht geschichtlich bedingt już zawczasu padamy ofiarą ideologicznego stosunku do świata. Wybaczcie pismo niewyraźne, od kilku dni cierpię na mocny ból w prawym ręku i wogóle co dzień czynię w mojej fizycznej maszynie jakieś nowe, a niemiłe odkrycie.

Tu teraz upały. Czekamy pierwszej możności, by stąd wyrwać i pojechać, ale gdzie? Jabym chciał do miasta i do bibljoteki, a tymczasem boję się swego zdrowia. Każda wyprawa do Genui przyprawia mnie o chorobę. Piszę teraz dla Świtu rzecz o galicyjskich wyborach i żałuję, że mam w sobie zamało kwasu siarczanego. Chcę też dać nauczkę polskim socjalistom z Rosji, którzy pozwalają sobie widzieć w klęsce Daszyńskiego wypadek szczęścia. Z dniem każdym staję się coraz większym sceptykiem na punkcie socjalizmu parlamentarnego i sądzę, że czekają nas niemiłe niespodzianki. Szopek militarystycznych w parlamencie niemieckim stanowczo wybaczyć nie można. Zdaje mi się, że powykrywałem właśnie dla siebie dużo nowych procesów psychologii partyjnej. Stosunek polskich socjalistycznych smarkaczów i nietylko smarkaczów, niestety, do Daszyńskiego — to jeden z przykładów tej metody lekceważenia człowieka, jaka stanowczo jest jednym z wykładników dzisiejszej socyaldemokratycznej myśli. Moja książka o Marksie będzie stanowczo herezją na lewo. Wiem, że nie we wszystkim będziecie się godzić, byłbym chybił jednak celu, gdybym nie wypowiedział wszystkiego jaskrawo i dobitnie. To nie będzie rozwiązaniem przypadającym do smaku lewicy.

Teraz piszę coś na konto Sienkiewicza, (. . . .) ale nie wiem, gdzie wydrukuję. Czytam Feuerbacha. Jamesa o religii — będę pisał szkic o religii dla Przeglądu Społecznego. Dla Przeglądu Filozoficznego napisałem sporą rzecz o Nietzschem, teraz pracuję nad szkicem o Vicu i Stirnerze. Będę pisał o Heglu. Ale wszystko to piszę tylko wolą, bez przyjemności i właściwie najchętniej zeszedłbym ze sceny.

Pisać nie mam gdzie, a poza Polską nie czuję się na siłach pisać o niczym. Na tle naszego analfabetyzmu moje rzeczy nie wyglądają śmiesznie. Znam swoją cenę: wiem, że mam system myśli własny i słuszny, ale nie uda mi się go opracować kulturalnie. Musiałbym mieć przed sobą lata systematycznej pracy. Gdybym miał dziś czas, zająłbym się przez rok studyami nad wyższą matematyką i teorya nauk ścisłych w wiekach XVI—XIX. Wtedy mógłbym wyłożyć myśli o kulturze w przypisanym Wam artykule tak, jak je wyłożyć potrzeba. Ja wiem i czuję, że w tym jest coś pewnego i prawdziwego — ale to nie dość mówić, trzeba dawać i ukazać. Zresztą, nie wiem jeszcze, czy artykuł ten tak prędko będzie wydrukowany. Przegląd bowiem najczęściej moje artykuły zaprzepaszcza. Czy uwierzycie, że leży w redakcji tego pisma 6000 wierszy moich rękopisów, z których już 2000 są zmarnowane, bo spóźnione. Napisałem 2 nowele i nie wiem, czy będę mógł je drukować: — w każdym razie rękopis prześlę, w razie gdyby pisma Świt i Przegląd bały się drukować do Lwowa. Są one pisane tak, jak dzisiaj o człowieku pisać można i trzeba t. j. zoologicznie. Wysłałem Russ. Bogactwu 3 artykuły. Dostałem odpowiedź, że będą wydrukowane z przyjemnością, gdy trochę miejsca wyswobodzą. Marzę o tym, aby zobaczyć miasto, różne pisma, kawiarnię, muzykę: przeszłem strasznie dużo myśli w absolutnym osamotnieniu.

Pozdrawiam Was bardzo serdecznie. Pozdrówcie siostry Wasze ode mnie.

Nowela . . . . będzie przypisana Siostrze Waszej Annie, jeśli się nie mylę — powinna odpowiadać jej sposobowi czucia.

Wasz St. B.

Żona moja pozdrawia Was, przechodziła ona ciężki pleuryt, który tylko tu skończył się tak pomyślnie.

St.

*) Wybory, o których mówi Brzozowski, odbyły się w maju 1907 r. Dzięki machinacjom szlachty („Koła Polskiego") i władz administracyjnych, Daszyńskiego utrącono. Wkrótce jednak powrócił do parlamentu, jako poseł z okręgu śląskiego, gdzie wybrany T. Reger zrzekł się mandatu i dzięki temu można było wystawić Dasz., który przeszedł olbrzymią większością głosów.

**) Neue Zeit — czasopismo socjaldemokracji niemieckiej, redagowane wówczas przez Kautsky'ego.

DO BUBERÓW

(Ostatnie dni grudnia 1907 r.)

Kochani Państwo!

Spodziewałem się trochę dostać dziś list od Pana: myślałem, że w czasie świąt będzie pan miał trochę więcej wolnego czasu. Ale oprócz czasu potrzebne jest usposobienie: — widocznie wciąż jeszcze zmartwienia dolegają Państwu. U nas nic nowego. Mój exudat jest trochę większy, niż ubiegłego roku, ale gorączki prawie nie ma. Spodziewamy się więc, że to minie niezadługo. Doszedł mnie Kampf z artykułem. W jednym miejscu skreślone przez Bauera 2—3 wiersze nadwerężyły ciągłość myśli, ale niezależnie artykuł mi się nie podoba. Nie mogłem dostatecznie opanować nerwów podczas pisania: to też podstawa jest wzięta zbyt wąsko. Tłumaczy mię brak miejsca. Dużo korzystam w tych czasach wskutek stosunków z Łunaczarskim i lubo bardzo dziwnie rozchodzimy się w wielu punktach, wychodzimy z jednych założeń, musiały mi więc rozmowy z nim sprecyzować nie jedno. W Rosji marksizm poczynił ogromne postępy filozoficzne i filozofia a la Plecha-

now rozpatrywana jest jak paleontologiczny zabytek.

W samej rzeczy, gdy Bogdanow określa świat jako społecznie zorganizowane doświadczenie, również pomiędzy psychiką, a fizyką, jako różnicę pomiędzy doświadczeniem zorganizowanym osobiście, a doświadczeniem zorganizowanym społecznie: lub gdy określa proces biologiczny jako odbicie przeżyć bezpośrednich w społecznie zorganizowanym doświadczeniu — widzimy odrazu, jako daleko zaszła już tu analiza i jak całkowicie utrwaliła swoje zdobycze. — A we Lwowie uczniowie Marksa wciąż jeszcze obrabiają pytania o istnieniu „świata zewnętrznego“. Nie ma kwestyi, tylko silny nurt społeczny jest w stanie ożywić myśl filozoficzną. Inaczej tkwią oddzielne zdobycze myśli, jak drzazgi w mózgu. Dalsze różnice pomiędzy myślą Bog. i tym co pozwala sobie nazwać swoją filozofią, dadzą się scharakteryzować bardzo dokładnie i zwięźle.

Dla Bogdanowa wszystko jest wynikiem dziejowego doświadczenia. Świat jest doświadczeniem społecznie zorganizowanym. Sprzeczności, zachodzące w myśli, w ujęciu świata są wynikami sprzeczności społecznych, które nie dopuściły do całkowitego zorganizowania doświadczeń. Samą treść doświadczenia dotychczasowego bierze on za punkt wyjścia i snuje ją aż do usunięcia sprzeczności, organizuje — aż do momentu całkowitej jedności.

W sumie to absolutne uspołecznienie treści ma być światopoglądem przyszłości. Idzie to tak daleko, że czasami wydaje się, iż samo zorganizowanie indywidualności zanika dla Bogdanowa. Mamy tu nową transpozycję fatalizmu historycznego. Doświadczenie, jak wysnuta przez ludzi pajęczyna, lepiej jeszcze jak ul pszczeli, przystaje do nich coraz lepiej obrasta, aż do całkowitego zaniku różnicy pomiędzy tvm, co jest, a tym, co człowiek myśli. Pojęcie prawa, które ja, im bardziej zastanawiam się nad zagadnieniami filozoficznymi, tym wyżej uczę się stawiać, jest całkiem nieobecne. Toć proces psycho-biologiczny rządzi, a raczej wchłania w siebie oddzielne jednostki, jak lawina wraz z sobą niesie.

Moje tezy są łatwe do przewidzenia:

1. Wszystko co wiemy o świecie, ludziach, wszystko, co jest dla nas światem — jest zorganizowanym doświadczeniem, wynikiem działalności.

2. Póki nie wiedzieliśmy o tem, nie było tu żadnej sprzeczności, teraz nie możemy już o tem zapomnieć.

3. Gdy mówimy ś w i a t, określamy go w pewien sposób: — mówimy właściwie o tych formach życia i działania, które skrystalizowały się w formie tak zorganizowanego doświadczenia.

4. Produkt ludzkiego życia i działania ukazuje nam się jako coś niezależnego o tyle, o ile samo działanie jest bezwiedne.

5. Brać za punkt wyjścia przeistoczenia, jakim ulega zorganizowane doświadczenie w myśl własnych swoich praw, jest to myśleć nadal działalność ludzką, jako skrępowaną i bezwiedną.

6. Stąd punktem oparcia mogą być dla nas tylko formy życia ludzkiego.

7. Nie pytamy się, czym jest lub czym ma być świat, lecz zastanawiamy się nad zmianami, jakim formy życia ulegają.

Wynik (wiadomy). Pojęciem ostatecznym filozofii jest ludzkość świadomie, celowo walcząca ze światem pozaludzkim i zorganizowana tak, że każda jednostka uczuwa swój udział w tej walce, nie jako mus, lecz jako prawo. Pojęcia jakie będzie miała ludzkość o świecie, pojęcia pozwalające jej prowadzić taką walkę i prowadzić życie prawie swobodne, bez zagrażania poziomowi biologicznemu — będą, jeżeli o to chodzi, prawdziwymi pojęciami.

Ale sądzę, że pojęcie prawdziwego świata zniknie — jako optymistycznie zwyradniające — powstanie stosunek tragiczny ludzkości do sił niezgłębionych, które m o c ą zawsze utrzymywać trzeba. Ludzkość będzie żyła zawsze na podstawie walki z czymś obcym.

Łunaczarski zajmuje stanowisko pośrednie. Gorkij zaś jakoby ma dużo sympatyi dla mojego biegu myśli. Ja zaś tu naturalnie naszkicowałem go niezgrabnie. Szukam napróżno form, w które mógłbym to wszystko ująć, a czuję, że brak mi wykształcenia, zdolności, woli.

Piszcie do mnie, kochani Państwo, jeżeli chcecie ułatwić mi wewnętrzne życie. W moich odczuciach jest dużo chorobliwego, ale odczucia chorobliwe męczą tak samo jak normalne

Mam wreszcie wielką prośbę: — może zechcą Państwo wyszukać w moich książkach 1) Tragedye Ayschylosa, 2) Sofoklesa, 3) Tom Proroków, 4) Scailliera książkę: — Philosophie de Renouvier, oraz pisma Słowackiego, kurs literatur Mickiewicza i Tribune des Peuples. Przepraszam za ten kłopot. Gdyby było możliwe dostać gdzieś Lewela Wyspiańskiego — byłoby to prawdziwe dobrodziejstwo. Odesłałbym go w dzień po otrzymaniu. Kupić go nie można, tylko pożyczyć.

Serdeczne życzenia Nowego Roku

St. B.

Przeczytałem tom prac Lenina — przywódcy bolszewików z wielką dla siebie korzyścią. Ach, prawda, zapomniałem o głównym interesie t. j. prośbie. Czy nie mógłby mi kto ze Lwowa pożyczyć, ale jaknajpospieszniej Nr Neue Zeit, gdzie w zeszłym roku drukowane były materyały do biografii Marksa oraz artykuł Marksa (. . . .) und Ricardo. Gdyby to było możliwe, to bardzo zależałoby mi na pośpiechu. Zwrócę w ciągu tygodnia.

St. B.

C. F. Ramuz po polsku

„Poświęciłem wiele czasu — pisał Ramuz w tomie szkiców „Questions“ — aby przekonać się, że być samotnym, jest to wielki zbytek, i to zbytek, za który drogo się płaci, za który zawsze płaciło się drogo i który będzie coraz kosztowniejszy. Zbytek tem bardziej kosztowny, że autor nie wybrał go dobrowolnie, lecz został mu on narzucony“.[1]) Są trzy rodzaje samotności pisarza: samotność, płynąca z pogardy dla człowieka i spraw ludzkich, osamotnienie walczącego pisarza w społeczeństwie burżuazyjnem, które przystaje na sztukę, będącą jedynie dekoracją i rozrywką, i najgłębsza samotność wobec bliskich sobie ludzi czynu i walki, którzy żądają od poety ferowania wyroków i odpowiedzi na wszystko, „kiedy on zadowala się stawianiem pytań“. Ten ostatni rodzaj samotności rodzi się z poczucia odpowiedzialności, z obawy, aby nie zostać przewodnikiem, wybranym, ponieważ schlebia namiętnościom, a nie ponieważ wskazuje słuszną drogę.

Taka jest samotność wielkiego pisarza szwajcarskiego C. F. Ramuza. Bo czyż można nazwać naprawdę samotnym pisarza, którego cała twórczość wyrasta z ziemi, na której mieszka, który dzieli troski i radości swoich bohaterów, tak jak dzieli troski i radości swoich sąsiadów z krainy Vaud, której pejzaż znaczy każdą kartę jego książek. Ale błędem byłoby nazwać Ramuza pisarzem regjonalnym, który wyszukuje i podkreśla odrębności, zaspokaja tani głód autentyzmu i egzotyki. Chłopi i góry Ramuza są jedynie wspaniałem uziemieniem spraw dla wszystkich ludzi jednakich, wiecznych konfliktów pomiędzy wolą trwania przy życiu, a poświęceniem, między miłością a przyjaźnią, pomiędzy wiarą a słabością. Dola człowieka wszędzie jest ta sama, „wszędzie bowiem — jak pisze — trzeba walczyć, wszędzie budować i poprawiać, zaczynać i znów rozpoczynać, nawet nie poto, aby czynić postępy, lecz tylko, aby trwać...“.

Ramuz w powieściach swoich odtwarza walkę człowieka z przyrodą, ewokuje groźne obrazy kataklizmów natury, tak, jakby chciał znaleźć ostateczną granicę wytrzymałości ludzkiej, kres oporów moralnych, postawę, jaką przybierze człowiek, jak pisze o twórczości Ramuza Edm. Jaloux, w chwili, kiedy go zastanie Sąd Ostateczny.

Podobny klimat owiewa świeżo przetłumaczoną na polski, jedną z najbardziej doskonałych opowieści Ramuza, „Pastwisko na Derborence“.[2]) Tematem jej są dzieje powolnego powrotu do życia pasterza, zasypanego razem z towarzyszami przez lawinę kamienną podczas letniego wypasu bydła w górach. Po siedmiu tygodniach mrocznej wegetacji pod zwałami kamieni nie jest łatwo powrócić... Ramuz w słowach twardych, hamowanych wzruszeniem ukazuje kolejne etapy tej jakby nowej, odwróconej drogi krzyżowej, powrotu od śmierci do społeczeństwa. Ukazuje, jak budzi się w człowieku naprzód ciało i świadomość posiadania ciała, możności wydania głosu, swobody dokonania ruchu. Jak przychodzi potem gwałtowna tęsknota za widokiem ludzi, za utwierdzeniem siebie przez znalezienie się w społeczności. Pasterz powraca do wsi i oto obraz ludzi przypomni mu przyjaciela, który pozostał pod kamieniami, jak przedtem ślepo posłuszny był sile instynktu życiowego, tak teraz równie na ślepo posłucha głosu więzów społecznych i powróci w góry, aby zatracić się w pełnem poświęceniu daremnych poszukiwań. Uratować go i ocalić może jedynie miłość drugiego człowieka, miłość żony, która po raz wtóry powróci go życiu dobrą nowiną o dzieciątku, co ma się narodzić. Bo miłość jest dla Ramuza czemś, co jest najbardziej ludzkie i najbardziej społeczne. O niej to, w cytowanych na wstępie „Questions“, pisze porywająco — „uczyniono z miłości rzecz idealną, podczas gdy jest ona rzeczą materjalną, uczyniono z niej cel do osiągnięcia, podczas gdy jest ona środkiem. Miłość została umiejscowiona, a miłość nie jest przywiązana do miejsca, jest ona wszędzie. Nie poza światem, nie wyżej świata, ale w nim, jest ona we wspólnocie, w codzienności świata...“.

Ludzie Ramuza są ludźmi żywymi, żywymi niemalże w znaczeniu ewangelicznem. Niema u niego nic z owego lubowania się w analizie psychologicznej, z delektacji sekcją, która zamiast postaci powieściowych, ukazuje nam mechanizm trupów. Bohaterowie „Derborence“ mówią mało, widzimy ich, jakby od zewnątrz, jako jednorodne, zgruba obciosane, wyraziste bryły. Jest to opowieść, nasycona surowym klimatem epiki, o obrazach wstrząsających i zwięzłych, jak w biblji. Niema w niej zbytecznych słów, subtelność osiągnięta jest tu przez dyskrecję i powściągliwość autora. Tak naprzykład cała historja przywrócenia pasterza życiu przez żonę, oddana jest w jednem zdaniu, mówiącem wszystko, w obrazie mężczyzny, który „pomagał kobiecie w trudniejszych przejściach; tam, gdzie trzeba było przeskoczyć kamień, brał ją na ręce“.

O artyzmie „Pastwiska na Derborence“ decyduje jednak nadewszystko styl. Ramuz jest poetą i malarzem, jest u niego ostrość spojrzenia i precyzja języka, doskonałość rysunku, która zmusza do porównań z miedziorytami Dürera. Ale mówiąc tak, krzywdzimy Ramuza, zapominamy o jego wyjątkowej wrażliwości na walor barwy, pozwalającej mu oddać przejrzystość i niemal wagę górskiego powietrza, grę świateł i cieni na ścianach skał. Styl Ramuza dramatyczny i obrazowy, konkretny jak gwara, daleki od gładkości francuszczyzny literackiej, narzucać musiał wielkie trudności tłumaczowi, tem bardziej cenić powinniśmy piękny owoc jego pracy. Dawno nie czytałem książki, pisanej tak szlachetną i świeżą polszczyzną, jak „Pastwisko na Derborence“ w przekładzie Stefana Flukowskiego.

Jan Kott

[1]) C. F. Ramuz. Pisarz a społeczeństwo. Odbitka z „Przeglądu Współczesnego“, luty, 1938. Przekład Stefana Flukowskiego.

[2]) C. F. Ramuz. Pastwisko na Derborence. Przekład Stefana Flukowskiego. Tytuł oryginału „Derborence“. Warszawa, J. Mortkowicz, 1938; str. 223 i 1 nl.

OBLICZE DNIA

We Włoszech. Marszałek Balbo popadł w niełaskę, ponieważ plan wojny kolonjalnej z Francją, przygotowywany przez Mussoliniego, wydaje mu się zbyt ryzykowny, a posiłki, wysłane do Afryki, nie wystarczyłyby, jego zdaniem, do stawienia oporu francuskim wojskom kolonjalnym.

Berlin. Goering oświadczył, że kraty żelazne nie godzą się z obecnem pojęciem piękna, toteż zostaną oddane na użytek przemysłu wojennego.

Burgos. Maurras, zaproszony i przyjmowany uroczyście przez rebeljantów, wygłosił toast na cześć generała Franco: „Niech żyje wszystko, co może zwrócić ludzkości jej godność!“.

Czyżby Polak? Profesor uniwersytetu Jagiellońskiego Schmidt na zjeździe naukowym w Niemczech, jedyny z przedstawicieli cudzoziemskich pozdrawiał pozdrowieniem hitlerowskiem i w odczycie używał słów „Posen“ na oznaczenie Poznania, „Lemberg“ na oznaczenie Lwowa. Jakiej narodowości jest pan Schmidt i kogo reprezentuje zagranicą?

Ogłoszenie w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym“ z dnia 4 czerwca b. r.: „Niepodległościowiec na posadzie przyjmie załatwianie spraw w Warszawie. Oferty poważne, referencje: I. K. C., Warszawa, Krak. Przedm. 9, pod nr. 11224“.

W Anglji. „Daily Telegraph“, który wyraża opinję partji konserwatystów, zamieszcza petitem na piętnastej stronie taką wiadomość: „Zatopienie okrętu brytyjskiego w czasie nalotu na Walencję. Jest to trzeci okręt w ciągu tygodnia“.

W Palestynie. Arabowie ustawiają przy rurociągu, który sprowadza ropę z Mossulu, przenośne piecyki, następnie z pewnej odległości strzelają do rurociągu. Arabom chodzi o to, aby wypływająca nafta zapaliła się od ognia piecyka, zapałka bowiem nie wystarcza. Dlatego Anglicy, którzy nie żartują, gdy chodzi o naftę, skazują w trybie doraźnym na karę śmierci tubylców, których złapią z bronią w ręku.

O Knucie Hamsunie. Znakomity pisarz duński, autor znanego także w Polsce cyklu powieściowego „Pelle zwycięzca“, na zapytanie redaktora kopenhaskiego „Uge-Journalen“, co sądzi o Knucie Hamsunie, odpowiedział:

„Co sądzę o Hamsunie, czy go lubię? Tak mógłbym lubić produkcje cyrkowe pod kopułą cyrku. Jest to bajeczny artysta, ale pozbawiony poczucia człowieczeństwa. Gdyby się pan znalazł w nędzy, czy mógłby pan liczyć na jego pomoc? Nie, udałby się pan raczej do Romain Rollanda. Hamsun dwukrotnie dał się poznać, kim jest naprawdę. Po raz pierwszy, kiedy zażądał kary śmierci dla tych młodych kobiet, które w największej rozpaczy i nędzy pozbywają się noworodków. Po raz drugi zaś, kiedy zaproponował rządowi w Oslo, aby wysłał bezrobotnych do rozbijania głazów i skał u chłopów. Hamsun jest także posiadaczem wielu skał, które trzeba porozbijać... W tych dwóch sytuacjach ma pan całego Hamsuna!“.

Paul Valéry o wojnie: „Jak nie będąc warjatem, można jeszcze myśleć o wojnie, żywić jakieś złudzenia co do jej skutków i żądać od niej tego, czego nie może dać pokój? Mówmy rozsądnie... Ten, kto zaczyna wojnę, nie może już przewidzieć, z kim i przeciw komu ją zakończy. Wdaje się w nieobliczalną awanturę przeciw siłom nieznanym na czas nieokreślony. Nawet jeśli wygra, będzie musiał zaraz po odniesieniu zwycięstwa kłócić się o jego owoce z resztą świata i poddać się, być może, wyrokowi tych, którzy w wojnie nie brali udziału. Natomiast pewne jest, że poniesie olbrzymie straty materjalne i w ludziach, za które nie otrzyma odszkodowania, gdyż w epoce, w której potężne środki produkcji zmieniają się w ciągu kilku dni w potężne środki niszczenia, w wieku, w którym każdy wynalazek, każde odkrycie równie dobrze zagraża rodzajowi ludzkiemu, jak służy jego celom, szkody będą tak wielkie, że wszystko, co będzie można wziąć od wyczerpanej strony zwyciężonej, stanowić będzie jedynie nikłą cząstkę zmarnowanych bogactw“.

Hitler i Kaiser. Pewien hitlerowiec zwrócił Holendrowi uwagę, że już w ciągu najbliższych miesięcy Hitler znajdzie się w Holandji. „No, cóż — odpowiedział Holender — to zrozumiałe. Kaiser jest tu już oddawna“.

WYSTAWA SZTUKI SPOŁECZNEJ

Stowarzyszenie W. S. M. „Szklane domy“ zorganizowało w osiedlu robotniczem na Rakowcu w Warszawie wystawę sztuki społecznej.

Wystawa obejmuje: malarstwo, grafikę, rysunek, fotografję i satyrę prasowa. Udział biorą: Z. Bobowski, J. Herman, J. Krajewski, I. Krzeczanowski, B. W. Linke, W. Malarewicz, A. Minorski, Fr. Parecki, A. Skórecki, S. Tynowicki i Z. Wasilewski.

KORESPONDENCJA

J. Sam. Warszawa. „Wojna“ ma pewne zadatki, ale jeszcze nie do druku.

Wł. O. Lwów. Czesław Miłosz, Warszawa, Zielna 25, Polskie Radjo, Wydział literacki; Jerzy Zagórski, Warszawa—Bielany, Lisowska 22.

M. Fr. Odpowiedzieliśmy listownie.

J. M. Lwów. Wiersze nie do druku.

„29“. Lwów. Wiersz nie będzie umieszczony.

B. Gord. Warszawa. Prosimy o porozumienie się z redakcją i podanie adresu.

L. K. S. Lepsze, ale jeszcze nie do druku.

L. F. Warszawa. Odpowiedzieliśmy listownie.

Y. Y. Warszawa. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone napewno w najbliższym numerze. Opóźnienie nie jest zależne od redakcji.

M. G. Warszawa. Z wiersza „O wiośnie“ nie skorzystamy.

Z. Orm. Warszawa. Anonimowo nie możemy drukować. Recenzja wymaga pewnych zmian.

St. N. Warszawa. Z artykułu nie skorzystamy. Za miłe słowa dziękujemy i zasyłamy pozdrowienia.

R. G. Warszawa. Z artykułu „Niedomówienia czy przejaskrawienia“ nie skorzystamy.

Olg. B. Złoczów. Z wierszy nie skorzystamy. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

W najbliższym numerze ogłosimy wyniki konkursu poetyckiego „Sygnałów“

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK

Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6.